13

W numerze: J. Krokwia — Prawda o Śląsku. Z. Hierowski — Pomocy pionierom. St. Piętak — Wiersze. J. Wiktor — Rozważania o literaturze.

Cena 5 Zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II. | Łódź, niedziela 11 listopada 1945 r. | Nr. 16 (23)

J. A. KRÓL

Z WINCENTYM WITOSEM

odchodzi cała epoka dziejów wsi polskiej *)

Umarł Polak, chłop i polityk, który przeżył dwie wojny światowe, oglądał trzy Polski, a urodził się i wychował w Małopolsce w „najłagodniejszym" z trzech zaborów.

W tym zaborze, łagodniejszym dla życia narodu polskiego, największe korzyści wyciągnąć mogło i wyciągało — **ziemiaństwo.** W monarchii feudalnej krew, rody i tytuły polskie były nie mniej cenne niż austriackie: jak zresztą lekceważyć okazicieli, kiedy herby zdobiły nie tylko osoby ale fortuny, kiedy okaziciele reprezentowali europejski poziom ogłady i oni to patronowali kulturze polskiej.

Niedaleko z Wierzchosławic do Krakowa. Wstępował młody Witos na tę scenę narodową, grającą się pod koniec wieku 19-go na ulicach starego grodu w dzień powszedni i w niedzielę.

Wciąż tu coś święcono, grzebano i witano. Sunęły mu na oczach kontusze, karabele, gronostaje, dołmany i sukmany. Trzeci maj, pogrzeb Mickiewicza, przyjazd arcyksięcia... Oglądał w powozach „ostatnie matrony polskie", „surowe dla siebie, pobłażliwe dla drugich", oglądał ostatnią galerię pysznych głów pańskich, które przesunęły się przez pracownię Matejki i po raz drugi w starych witrynach kasztelańskich domów, Goworków czasy jeszcze pamiętających, widział on — po Szarku — z drugiego pokolenia chłop kochający Polskę, widział ją w łunie szlacheckiej, w chwale i grzechach pańskich.

Nie było nigdzie od wieku większej pompy narodowej jak w te lata, tu w Krakowie.

Pisał Żeromski: „Dookoła nędza' głód, ciemnota i ci...... w swoich kontuszach i kitach".

Kiedy wstępował młody Witos do księgarń krakowskich, nową ewangelię narodową podawano, gdzie Sienkiewicz mówił, że „z pomocą Bożą „et viribus unitis" (wspólnymi siłami) tych, co błękitnej krwi byli i są, będzie jeszcze Polska mieć wspaniałe dzieje.

Kiedy szedł na plac Panny Marii, z kościoła wyjeżdżało wesele. Brał pan z panów chłopkę. Ona miała zaszczyt i rozpływała się w słodkości. A rodzina, a sąsiedzi, a wieś?

A kiedy wracał do domu, słyszał, jak krąży wśród ludu ksiądz Stojałowski i organizuje pierwszą partię chłopską pod hasłem „z szlachtą polską polski lud".

A kiedy sam w galicyjskim sejmie stanął, usłyszał, jak jaśnie pan koledze jego, chłopu, Jakubowi Bojce, powiedział na sesji głośno i publicznie **„bydlę!"**.

I wstał wtedy Wincenty Witos, chłop rosły i żylasty, prosto od pługa przybyły, wstał nie w sukmanę odziany, jak to w pańskich korowodach i procesjach na ulicach Krakowa był zwyczaj, ale w podmiejski napół surdut i w słynnej potem koszuli zapiętej bez kołnierzyka spinką na grdyce. Wstał wtedy nie polityk, nie gracz partyjny, ale **obrońca godności ludu.** I w tym geście musimy go zapamiętać.

Przed **politykiem ludowym** pierwszy wystąpił na widownię publiczną **trybun chłopski.** I takim go pół wieku historii polskiej znało i takim kochała wieś i szanował kraj.

Dlatego pierwsze jego odezwanie brzmiało:

„Oświadczam, że kiedy nareszcie znaleźliśmy się tu i my, to czy chcecie czy nie, pogodzić się musicie z tym faktem, że jesteśmy i że do roli podrzędnej zepchnąć się nie damy, praw należących się ludowi domagać się będziemy aż do skutku...

...Powinni panowie zrozumieć, że lud, **jeżeli już raz głowę podniósł to będzie ją trzymał wysoko,** nie na to, żeby pokazać pychę, ale by okazać, iż jest **człowiekiem z taką samą duszą,** mającym te same prawa i obowiązki, człowiekiem równorzędnym!".

Tak mówi nie polityk. Tak mówi filozof, poeta i kaznodzieja. I trzeba nam dziś umieć zrozumieć atmosferę epoki, co minęła bezpowrotnie. Ten wódz chłopski całego półwiecza aż do ostatnich naszych dni — wychował się w **żywym teatrze narodowym**, który grał Wyspiańskiemu „Wyzwolenie" i „Wesele". Widział w latach młodości tak wyraźnie, jak nikt z nas później — **pańskie i chłopskie.**

To arystokracja reżyserowała życie narodu razem z chłopami, lajkonikiem i szopką Boże - narodzeniową. I Witos też pośrodku tej sztuki stał urzeczony, a kiedy zdobył się chocholi taniec przerwać, z drugiej gotowej zaczerpnął — sztuki, szlachetniejszej niepomiernie i ludzkiej bardzo. Wziął to, co w tej epoce było tamtemu przeciwstawne. Od Marii Konopnickiej **„zaszumiał las, zaszumiał las od płaczu mojej pieśni"**, po Kasprowiczowskie **„Czy przyjdzie czas co łzy te spłoszy?"**.

Ten ton **psychologiczny — uczucia i honoru c z ł o w i e k a raczej, niż socjologiczny — interesu i taktyki w a r s t w y chłopskiej — góruje w Witosie wodzu chłopskim** i w manifestacjach chłopów do czasu drugiej wojny.

Już było po pańszczyźnie i serwitutach, ale Witos tak, jak jego kolega Bojko, walczyć musiał z **„duszą pańszczyźnianą"** u chłopów i z jej obrazem, wzgardę podtrzymującym nadal u panów krajem rządzących.

Temu bojowaniu nie mógł być wcześniej położony kres, aż póki nie padła klasa ziemiańska. Dlatego aż równe pół stulecia publicznego życiorysu Witosa należy do epoki, która tam się i wtedy dla niego zaczęła. Jeszcze w 1931 r. hańbiony więzień brzeski, jeszcze w 38 r. wygnaniec bez prawa powrotu do kraju, reprezentował Witos niezakończony etap **wczorajszej** w gruncie rzeczy **epoki** dziejów **wsi polskiej.**

* * *

Ale i wódz duchowy ludowych mas, aby znaczyć i skutecznie działać musi stać się politykiem, kierownikiem ruchu, leaderem partii.

Po dwakroć wszak — kiedy Witos odwołał się do ludu wiejskiego, jako jego duchowy przewodnik, po dwakroć został zawiedziony.

Pierwszy raz było to w 20 roku w wojnie z bolszewikami. Na wezwanie Witosa lud nie drgnął w swoich masach na kształt łanu, jak tego oczekiwać należało i bez łgarstwa trzeba powiedzieć, że wojnę rozstrzygnęło gotowe, regularne wojsko, a w bohaterskich epizodach samorzutnego poświęcenia zapisała się garść inteligentów, młodzieży szkolnej i paru księży[1]).

Drugi raz, kiedy Witos hańbiony był w Brześciu, on — **symbol godności chłopskiej** — nie doczekał drgnięcia ludu, coby poszło burzą wszerz i wzdłuż Polski[2]).

W tej roli — jak się okazuje — Witos na tle nowoczesnej historii świata, która wymaga **zorganizowanych, zbiorowych działań** — reprezentuje dziewiętnastowieczny styl **czującego i cierpiącego za miliony orędownika,** z którym każda jednostka **pojedyńczo** związana jest analogiczną duchową sytuacją i — choć ją zrodziła wspólna sytuacja społeczna — do społecznego, **masowego** gestu jeszcze nie prowadzi.

Dlatego dziś w dniach żałoby z niejakim wstydem pomyśleć nam należy o tym nie wyrównanym stosunku. Obrońca godności **każdego chłopa, nie został przez chłopów obroniony!**

* * *

Przed ruchem ludowym w latach poprzedzających wojnę światową i następnych, rzeczywistość **narodowa** stanęła jako rzeczywistość **szlachecka,** bowiem była to **epoka renesansu szlachetczyzny.** W literaturze i sztuce najpopularniejszym stało się stylizatorstwo odnawiające nawet najstarsze estetyczne normy i motywy feudalno - szlacheckie. W nauce, w szczególności humanistycznej (historia) dominował szlachecki punkt **widzenia.** W życiu gospodarczym ziemiaństwo czyniło nowe, **większe** wkłady kapitałowe w przemysł, łącząc postęp w produkcji towarowej z **umocnieniem ekonomicznym** swego politycznego dotychczas władztwa.

Przed ruchem ludowym stał tedy — teoretycznie — problem: **wejść w naród szlachecki czy nie wejść?** Praktycznie bowiem stał on tylko przed bogatym włościaństwem".

Tragedią naszą było, że nawet w robotniczym ruchu socjalistycznym świadomość narodowa rosła wówczas za sprawą **„szlacheckich malowanek narodowych" i pod osobistym dowództwem szlachcica... Piłsudskiego.**

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

1, 2) patrz: Władysław Grabski — „Idea Polski".

*) Artykuł pt. „Z Wincentym Witosem" ujmuje postać tego Wielkiego Bohatera Chłopskiego z punktu widzenia historycznego, rzutowanego wstecz. W dwóch rolach Wincentego Witosa „wodza chłopów" i „przywódcy Stronnictwa" podkreślone zostało to, co było historyczne i dziś już należy do przeszłości niepowrotnej.

Zdajemy sobie sprawę, że z wielu innych jeszcze stanowisk można mówić o Witosie, a przede wszystkim o tragedii więzienia brzeskiego, które przerwało Wincentemu Witosowi działalność polityczną, nie dając mu uzgodnić roli „przywódcy Stronnictwa" z rolą „wodza wszystkich chłopów". Artykuły następne wniosą ujęcia uzupełniające. Redakcja.

Po zgonie Wincentego Witosa

Depesze Kondolencyjne Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich i Redakcji „Wieś".

DO PREZYDIUM KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ,
Warszawa-Belweder

Z powodu śmierci Wincentego Witosa, pierwszego wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej, Wielkiego Polaka i patrioty, godność warstwy chłopskiej najwyżej reprezentującego, przesyłamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wieś"

DO N. K. W. P. S. L. WARSZAWA

Przesyłamy wyrazy głębokiego żalu z powodu śmierci Wincentego Witosa, Wielkiego Polaka i patrioty, największego wyraziciela godności ludu wiejskiego na przestrzeni pół wieku dziejów ostatnich, długoletniego Prezesa P.S.L.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wieś"

DO CÓRKI WINCENTEGO WITOSA
OB. MIZIOWEJ WIERZCHOSŁAWICE

Przesyłamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci Ojca Pani, Wielkiego Polaka, Pisarza i Nestora ruchu chłopskiego w Polsce.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wieś"

Z Wincentym Witosem

odchodzi cała epoka dziejów wsi polskiej

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Tragedią warstwy chłopskiej było, że jej grupa gospodarczo najsilniejsza, — nie widziała interesu w sojuszu z klasą robotniczą.

Tragedią było, że proces asymilacji z pańską kulturą był najmniej dostrzegany i najmniej kontrolowany przez tę właśnie „włościańską" grupę, choć jej wówczas, z tytułu największej dynamiki gospodarczej, historia wyznaczyła rolę **awangardy** w walce o sprawę całej warstwy chłopskiej.

* * *

Jesteśmy świadkami prawdziwie **dramatycznych** napięć u Witosa wynikłych ze skrzyżowania się jego działalności jako **wodza chłopów**[3]) z działalnością **przywódcy stronnictwa chłopskiego.**

Oto kiedy pierwszy przemawia w r. 1919.

„Polska upadła jako państwo szlacheckie,
Polska powstaje teraz jako państwo ludowe...".

Drugiemu (politykowi) rzeczywistość odpowiada tak:

Oto słowa wyjęte z programu Narodowej Demokracji:

„Reforma rolna winna się opierać na dobrowolnej parcelacji i dążyć do tworzenia większych gospodarstw włościańskich".

Stronnictwo Chrześcijańsko - Narodowe, z kluczowym Związkiem Ziemian — jako naczelne zadanie w sejmie stawia sobie **„zwalczać przede wszystkim reformę rolną", a domagać się aby Kościół Katolicki był wyznaniem panującym i wywierał wpływ decydujący na wychowanie i wykształcenie młodzieży... aby stan posiadania Kościoła nie doznał uszczuplenia", natomiast „Stronnictwo jest przeciwne przyśpieszonej rozbudowie szkolnictwa".**

Czy więc Polska upadła jako państwo szlacheckie? I czy Polska powstała jako państwo ludowe?

Dlatego Witos polityk, przywódca „Piasta" prawie w tym samym czasie decyduje:

„Bez porozumienia się z Narodową Demokracją nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić".

Umiejmy dziś widzieć nawet w posunięciach przywódcy partii ograniczenia, jakie mu dyktują realne siły społeczne, którymi on rzeczywiście dysponuje.

* * *

Co mógł uczynić innego Witos, jeśli grupa chłopska gospodarczo najmocniejsza a w tym okresie jedynie realna politycznie siła — była w takiej sytuacji:

po pierwsze: kaptowano ją ze strony ziemiaństwa, aby odizolować i przeciwstawić reszcie wsi, a w ten sposób sparaliżować i te siły, które wtedy jeszcze drzemiące jutro mogły spotężnieć i stać się groźne.

po drugie: interesy tej klasy rzeczywiście schodziły się z interesami zagrożonego ziemiaństwa. Szło o to, czy reforma rolna zupełna, czy częściowa? W pierwszym wypadku musiałaby pójść drogą rewolucji, a ziemia przeszłaby wtedy w ręce mas biedniackich, najbardziej jej potrzebujących. W drugim wypadku — szczególnie przy reformie dobrowolnej i z wykupu — zostałyby zaspokojone ambicje społeczne i gospodarcze w pierwszym rzędzie i prawie wyłącznie „włościaństwa" wielomorgowego.

Ta klasa chłopska chciała przeto porozumienia z ziemiaństwem i prawicą. I na to porozumienie Witos, przywódca „Piasta" poszedł w 23 roku. —

* * *

Majowy zamach stanu Piłsudskiego w 26 roku przerzucił ziemiaństwo. Z legionową szlechetczyzną — z którą Witos był od początku w wojnie — połączyło się obecnie wielkie ziemiaństwo. Z „szarą pyszką" Piłsudskiego cień książęcego Nieświeża.

I wtedy Witosowi przypomniano **orędownika chłopskiej godności.** Zamknęła go Bereza a partia o Prezesie zapomniała, poświęciła go, zamiast rzucić wszystko dla niego — **dla symbolu warstwy chłopskiej!** Nie drgnął dostatecznie lud, może pamiętający mu właśnie politykę „Piasta".

A wracał już wtedy Witos do swojej pierwszej roli, do swojego posłannictwa historycznego, najboleśniej najbardziej gorzko ofiarowując siebie za chłopów całej Polski w obliczu potężniejącego bezprawia stanowego i pańskich katów.

I takim — **wodzem chłopów** — pozostał już w naszych oczach na wygnaniu, pod okupacją i w dniach ostatnich, wolnej, jego trzeciej — Polski.

JAN ALEKSANDER KRÓL.

3) Pigoń Stanisław — „W. Witos jako działacz i polityk" („Wieś i Państwo" 1938. Nr 8): „Tajemnica uroku Witosa leży bodajże w tym, co by nazwać można reprezentatywnością... Siłą jego jako przywódcy ludu stano wi to, że jest on wspaniałym typem chłopa polskiego podniesionym do najwyższej potęgi".



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski
w powozie z ówczesnym premierem W. Witosem w czasie wyjazdu do Paryża

(Takim drukiem i w takim układzie podpisane zostało to zdjęcie zamieszczone w książce „Marszałek Piłsudski a Sejm", wydanej w r. 1936. — Przyp Red.).

Stefan Lichański

MONOPOLIŚCI POSTĘPU

Ze wszystkich pism literackich najwięcej uwagi poświęca nam „Kuźnica". Pod względem ilości zwróconych przeciw nam w tym piśmie napaści stoimy zaraz na drugim miejscu po „Tygodniku Powszechnym". Warto przy tej okazji podkreślić fakt, że publicyści „Kuźnicy" nie umieją polemizować inaczej, niż przy pomocy kuksańców i kopniaków.

Ostatnio w nr. 10 „Kuźnicy" przedmiotem złośliwego ataku stał się artykuł J. A. Króla „O poezji chłopskiej". Autor notatki pt. „Król i szlachcic", podpisujący się skromnie literkami „mj" „załatwia" przy tej okazji poetę Ożoga zestawiając cytat z jego wiersza z cytatem z Kochanowskiego. Cała ta notatka świadczy po prostu o tym, że ob. „mj" ma dużo wolnego czasu i bawi się. Bo można by wybrać cytaty z Ożoga i Kochanowskiego tak, by porównanie wypadło na korzyść Ożoga. Możnaby podobną metodą „udowodnić", że Ożóg czy ob. „mj" są lepszymi poetami niż nawet *Słowacki, Mickiewicz, Norwid.* Kto ma czas i ochotę, może się w ten sposób bawić długo.

Faktem jest natomiast, że Król w swoim artykule nie poruszał wcale sprawy **literackiej** wartości utworów omawianych poetów, a ograniczył się do badania **społecznej** postawy tych pisarzy. Atak ob. „mj" trafił więc w próżnię.

Że to jednak nie po raz pierwszy „Kuźnica" kręci nosem na utwory literackie drukowane we „Wsi", warto się tą sprawą cokolwiek zająć. Pisał już kiedyś A. Ważyk w tejże „Kuźnicy", że poezja Kubisza i Nędzy-Kubińca np. jest młodo - polska, kułacka, po uszy tkwiąca w prymitywnie rozumianym regionaliźmie i t.p. Tyczyło się to poematu Kubińca „Taniec zbójnicki", utworu pisanego w 1940 r., najczarniejszym roku okupacji, utworu tchnącego mocną wiarą w zwycięstwo i lepszą przyszłość oraz poematu Kubisza „Rebelija góroli" w Mostach", opisującego chłopskie powstanie na Śląsku Cieszyńskim w 1848 r. Jakąż więc literaturę uważa „Kuźnica" za dobrą i zgodną z duchem czasu?

Oto parę próbek:

„WRZESIEŃ 1944"

Na marginesie wielkich wojen
tam komentarzem moich dziejów,
wierszem, o wczesnej — znów — jesieni
wzruszona gorzko pamięć poję.
Ciało niechętne moim troskom
leniwie pławi się w rozkoszy
miałkiego szeptu. Jesień polska
bledziutkim ciepłem rzęsy złoci.
Lecz tak naprawdę — nic mnie nie bawi,
nawet ja sama — nawet wrzesień.

Wrzesień 1944 r. Płonie Warszawa. Rozpoczyna się straszliwa tułaczka setek tysięcy wygnańców. Szaleje teror SS a młoda poetka pisze sobie sentymentalne wierszyki o „złotej jesieni" — i co najlepsze — redakcja „postępowego", „rewolucyjnego" pisma wierszyki te zamieszcza jakby nie widziała w tym nic niewłaściwego. Sam fakt dania wierszowi tytułu „Wrzesień 1944" wygląda albo na niedbalstwo redakcyjne, albo na cynizm, albo wreszcie na ową tak przez „Kuźnicę" zwalczana „bezdziejowość". Poetka jest może w tym wypadku w porządku, ale redakcja — nie. Zwłaszcza gdy prowadzi się jednocześnie kampanię przeciw t. zw. estetyzmowi.

O ile jednak tych wierszy możnaby jeszcze bronić przy pomocy zwalczanych przez „Kuźnicę" kryteriów czysto estetycznych, to jednak gorzej przedstawia się sprawa z drukowaną w nr 3 nowelą „Śmierć poetki", z której cytujemy parę smakowitych wyjątków, godnych by zdobić łamy jakiegoś przedwojennego „Bociana" czy „Wolnych żartów":

„Przez zapach grzybków przebił się jej swoisty zapach dziewczyny, która wierszem bez wstydu opowiada noc miłosną, zapach rozkwitłych, jeszcze nie otrzęsionych bazi wielkanocnych. Tak, Felix pachnie jak kwiatowa sperma, potwierdził sobie Janusz..."

„Jej kolana są okrągłe, drobne i wolno mu ich dotknąć. Uwielbia jej kolana, całuje je namiętnie, pragnąc zgłębić i mieć na własność sekret, którym wypowiada się jej skóra woniejąca zapachem czegoś bardzo pięknego, może mandarynki, może..."

„Jęczy: — Kto wie, co jeszcze z nami będzie! — oddychając szybko zsuwa z ramion koszulę, otwiera usta, zęby, ciepły, śliski język chowa we wnętrzu ust kochanka, silnie obejmuje go za szyję i z przymkniętymi szczególnymi oczyma rzuca się w ciemny zwój odczuć, z których nie ma innego wyjścia niż miłość, wspólny sen na poduszce, na której ślady łez zaschły w małe, płaskie perełki, nieistotne, jak wszystko to, co w tej chwili nie jest febrycznym zwarciem, przeniknięciem, zmieszaniem śliny i białych soków gorzkich i gęstych".

Chłopski temperament Kubińca — to kułactwo, to młodopolszczyzna, to „reakcja" itd. Ale erotyczny temperament panny Felix i jej kochanka — to postęp, to zdrowie moralne, to coś istotnie ważnego dla bezklasowej kultury ogólnonarodowej. Możliwe, że któryś z redaktorów arcypostępowej „Kuźnicy" puściwszy w ruch nieomylny aparat dielektyki materialistycznej udowodni, że sentymentalne liryczenie miłosne lub pornografia w stylu Staśki — to coś daleko bardziej postępowego niż wiersze o chłopskiej woli przetrwania i zwycięstwa, lub poemat o chłopskiej walce o wolność.

Nie zdziwiłoby nas wcale takie postawienie sprawy, bo w ogóle cuda dzieją się w tej „Kuźnicy" niebylejakie. Od ósmego już numeru broni „Kuźnica" dotychczasowego dorobku kultury i sztuki polskiej, broni „rzeczy czarnoleskiej" przed ofenzywą barbarzyńców ze „Wsi".

Ale... takie jedno, jedyne „ale": w artykule „Poza rzeczywistością historyczną" podpisanym nie literkami „mj" a pełnym imieniem i nazwiskiem: Mieczysław Jastrun, drukowanym w nr 1 „Kuźnicy" z czerwca br. „stało napisane":

„Położenie geograficzno - historyczne naszego kraju sprawiło, że, jak nigdzie, bezkrytyczny solidaryzm społeczny stał się religią inteligencji polskiej, przeniknął nawet do radykalnych partii politycznych".

„To niezdecydowanie, ta połowiczność..." będzie cechą narodową tak długo, dopóki nie ulegnie zasadniczej przebudowie podstawa materialna, z której wyrasta kultura narodowa, dopóki konsumcyjno - przetwórcza warstwa ziemiańska nie zostanie zasiąpiona przez warstwę wytwórcza a kultura narodowa nie oprze się na szerokiej podstawie chłopsko - robotniczej.

O„ czarnoleskiej rzeczy" marzyli pisarze nawet mieszczańskiego pochodzenia i ten charakter marzeń o utraconym raju przetrwał do dnia dzisiejszego".

W czerwcu „rzecz czarnoleska" pachniała „reakcja", w październiku stała się pałką do bicia po głowie chłopskiej ideologii kulturalnej. A może to proces przemian historycznych już tak się daleko przez te parę miesiący posunął, że w toku tych przeobrażeń zmieniła sie ideologia kuźnicowych speców od postępowości?

A teraz postawmy sprawę jak najprościej: skąd ta święta zapalczywość skąd ten inkwizytorski ton właśnie w stosunku do postępowego pisma chłopskiego? Kawał polega na tym, że „Kuźnica" **o postępie gada, a my ten postęp w miarę** naszych szczupłych sił i możliwości realizujemy.

„Tu — jak mawiają rodacy **Goethego i Marksa — leży pogrzebany pies".**

Jan Krokwia

PRAWDA O ŚLĄSKU (Część I)

Piotr Bezrucz — symbol poetyckiego fałszerstwa

Od kilku miesięcy jesteśmy niemymi świadkami naporu i ataku bratniego narodu czeskiego przeciwko odwiecznie polskim ziemiom, jak Śląsk Zaolziański, obszar Głupczyckiego, Raciborskiego, Kładzkiego...

W tym roku, dnia 17 września, ukończył swój 78 rok życia, czeski szowinistyczny poeta Piotr Bezrucz. Wyzyskując tę okazję dla antypolskich celów propagandystycznych, rząd czeski jednogłośnie powziął uchwałę, na mocy której Bezruczowi udzielono tytułu: narodowego poety. Prócz tytułu, przyznano temuż poecie nagrodę literacką w kwocie 100.000 koron. Czeskosłowacki premier Fierlinger odbywa swą demonstracyjną podróż do Bezrucza...

Dnia 17 lipca br. zmarł w Pradze największy poeta czeski Józef Hora, dopiero po śmierci autora „Struny w wichrze", przyznano mu zaszczytny tytuł poety narodowego... drugim poetą narodowym zrobiono Bezrucza. Porównując twórczość Józefa Hory z twórczością Piotra Bezrucza, musimy dojść do jednego poznania: nadanie tytułu poety narodowego Piotrowi Bezruczowi było podyktowane przez obecną koniunkturę politycznej ekspansji czeskiej, przeciwko ziemiom śląskim i chęcią wydarcia tych ziem — Polsce.

Nad Śląskiem Cieszyńskim i Frydeckim, Opawskim i Hłuczyńskim, czy ludowo powiedziawszy Huczyńskim, trwa ciągle chmura jakby wiecznego letargu narodowego. Narastała ta chmura w stężonym tempie nię tylko, kiedy Austria i przedhitlerowskie Niemcy były chwilowym panem tych ziem, ale działo się to także przez pełne dwadzieścia lat pierwszej republiki czesko-słowackiej. Z dawnych chwil pozostał tutaj pewien osad cudzej kultury, zamulony później eksterminacyjną polityką centralizmu czeskiego, co w sumie zmieniło właściwe i indywidualne oblicze polskiej ludności tych terenów. W chwili obecnej prawda o tych obszarach ziemi śląskiej, zahukana blagą i czeską propagandą polityczną czeka na swego obrońcę. W dzisiejszym szkicu literackim nie chodzi nam jednakże o całokształt i wyczerpanie tematu, lecz o poprawkę jednej pozycji w kwestii śląskiej. Tą pozycją jest poeta czeski Włodzimierz Waszek, znany jako autor „Slezskych pisni" *) („Śląskie pieśni"), które wydał pod pseudonimem Petra Bezrucza. Zastanówmy się więc dzisiaj czy Piotr Bezrucz miał moralne prawo upominać się dla swych czeskich ziomków o kraj duchowo obcy kulturze i mentalności czeskiej?

NARODZINY PIERWSZEJ LEGENDY

Było to dnia 8 marca 1899 roku, kiedy wyszedł jeden z późniejszych tygodników czeskich realistów w Pradze p. t. „Czas". Pismo to było rzecznikiem politycznej ideologii Tomasza Masaryka. W literackim dodatku „Czasu" z tegoż dnia, pojawiło się osiem utworów, nieznanego podówczas Petra Bezrucza. Ponieważ wtenczas Śląsk dla Czechów był ziemią „nieznaną", tych osiem wierszy Bezrucza, tak jak i poprzednia publikacja, która uległa austriackiej konfiskacie w tym samym piśmie — stało się w kołach realistów czeskich sensacją dnia; było jakby obudzeniem i wywołaniem czeskiej ekspansji na polskie tereny śląskie. Zaś w numerze „Czasu" z dnia 3 czerwca 1899 roku zamieszczono dalszych dziewięć utworów, wśród których znalazł się także jeden z najbardziej zatrutych fałszem i jadem wiersz p. t. „70.000", gdzie 32-letni Bezrucz pisał:

„Siedemdziesiąt tysięcy jest nas
przed Cieszynem, przed Cieszynem,
Sto tysięcy nas poniemczyli,
Sto tysięcy nas popolszczyli!"

Wyimaginowanych 70.000 Czechów „przed Cieszynem", ugruntowało pozycję Bezrucza w literaturze czeskiej i podniosło ją (wprawdzie po czasie) do godności śląskiego barda. W swych wspomnieniach, redaktor „Czasu", literat Jan Herben zwierza się, iż po wydrukowaniu wierszy Bezrucza w swym piśmie z dnia 3 czerwca 1899, żona prezydenta Masaryka — Charlotta Masarykowa powitała go słowami: „tak, mamy nowego poetę!"

Oficjalna krytyka czeska jednakże przemilczała Bezrucza — wskazuje to i potwierdza, iż literaci czescy nie sympatyzowali z politycznymi wskazaniami autora „Śląskich pieśni" i klasyfikowali je jako niepotrzebny wybryk, uwłaszczający godności piśmiennictwa czeskiego. Później jednak w pierwszej republice czeskosłowackiej, po zbrojnym i zdradzieckim ataku wojsk czeskich na Śląsk Cieszyński — otoczono Bezrucza nimbem państwowej ważności, stawiając go na najwyższym piedestale poezji czeskiej. Żaden naród słowiański nigdy za jedną książkę politycznych wierszy nie oceniał tak wysoko swego poety i nie czcił go w tak przykry i niesmaczny nieraz sposób.

GŁOŚNY FAŁSZ I CICHA PRAWDA

Zachodzi pytanie, jak lud polski na Śląsku przyjął czeską poezję Bezrucza, jak zareagował — jak dalece stał się dla tego ludu anonimowy Bezrucz duchowym przywódcą? Jedna jest odpowiedź na to pytanie! W ludzie śląskim nie wzbudził Bezrucz swą poezją najmniejszego drgnienia — poezja ta stała się sprawą obojętną i cudzą dla Cieszyna, Frydku, Opawy i Hłuczyna. Czeskich gazet i czeskich książek na terenach śląskich w ogóle nie czytano. Bezrucz nie opublikował swych utworów w prasie wychodzącej na Śląsku, gdyż prawdopodobnie przeczuwał, iż wyśmiano by go tutaj i zlekceważono za jego niedorzeczną próbę poetyckiej aneksji ziem śląskich. Dlatego też wolał on udać się do Pragi, aby tam w piśmie czeskim opublikować swe utwory. Stwierdzono na przykład, że na Frydeckim był tylko podówczas jeden odbiorca praskiego „Czasu", kiedy Bezrucz ogłaszał w tym piśmie swoje wiersze. Był tym odbiorcą „Czasu"... Czech, który został mianowany tam przez władze austriackie jako urzędnik administracyjny. Czech urodzony poza terenem ziem śląskich. I sam Bezrucz przecie przez pewien czas spełniał rolę wysłanego na Śląsk — Czecha, kiedy był asystentem urzędu pocztowego w Mistku. Fakt to zresztą ogólnie znany, że urzędy austriackie często wysyłały Czechów jako urzędników na Śląsk. Prócz Bezrucza bawił także na Śląsku inny literat czeski Franciszek Slama — lecz to jeszcze nigdy nie może uprawniać Czechów do twierdzenia, że Śląsk Cieszyński jest starym czeskim krajem!

Dosadną charakterystyką obojętności Śląska względem poezji Bezrucza jest opinia innego Czecha — K. Fiali, który w swych wspomnieniach „Za Bezruczem" (Polední denik nr. 21 z dnia 13-go września 1937 — Mor. Ostrawa) opisuje przybycie na Śląsk młodego nauczyciela czeskiego z okolic Berouna do Mor. Ostrawy w zaraniu powstania pierwszej republiki czesko-słowackiej. Oto, jakie były wrażenia nauczyciela z Czech, który tak namiętnie w swych Czechach zachwycał się Bezruczem:

„...Czytał wiersze Bezrucza dzieciom w szkole, był zaskoczony, bo stwierdził, że dzieci nie znają żadnego utworu Bezrucza. Dzieci się śmiały, kiedy im taki wiersz wygłaszał i wstydziły się, kiedy miały czytać te wiersze..."

Od siebie możemy tutaj dodać: polskie dzieci wynaradawiane w czeskiej szkole musiały się wstydzić czytać zatrute jadem utwory czeskiego poety! Ale zacytujmy jeszcze i kilka innych zdań ze wspomnień K. Fiali:

„Ale ani starsze społeczeństwo nie znało Bezrucza. W miejscowej bibliotece nie posiadano „Slezskych pisni". To było nowe rozczarowanie. Kiedy młody czeski nauczyciel szedł tutaj (do Mor. Ostrawy — przyp. mój!) myślał, że cały kraj będzie dźwięczał balladami i pieśniami Bezrucza. Jak inaczej znano Bezrucza w Czechach i na Morawie. Tam czytali go ludzie i odmawiali jego utwory nabożnie jak ewangelię... Tylko tutaj na Śląsku ostrawskim, Bezrucza mało znano i w ogóle go nie rozumiano"

Dlaczego na Śląsku ostrawskim Bezrucza nie znano i nie rozumiano, autor wspomnianego felietonu nie daje nam odpowiedzi. Chcemy dlatego jego wypowiedzi uzupełnić. Przede wszystkim poezja Bezrucza była tworzona w języku czeskim z bardzo rzadką domieszką słów, wyrwanych z prapolskiej gwary śląskiej. Bezrucz, przebywając przez pewien czas w Dąbrowej na Zaolziu, później zaś jako urzędnik pocztowy w Mistku przy Frydku, coś z tej gwary podchwycił i wykorzystał w mniej lub więcej dokładnej formie w swych wierszach, zmuszając rodaków swych w Czechach do zachwycania się dynamizmem i surowością swego stylu. Nie chcę pomniejszać poezji Bezrucza, lecz niestety muszę stwierdzić, że dynamizm ten i surowość stylu jest u Bezrucza rzeczą bardzo względną, bo nie istotną, lecz zapożyczoną jedynie dla okrasy z staropolskiej mowy śląskiej. Do oryginału gwary śląskiej takiego czy innego odcienia było Bezruczowi bardzo daleko — takich więc poezji lud śląski nie mógł czytać, gdyż ich prawie nie rozumiał. Godzę się natomiast na inną bolesną prawdę słowiańską wspomnianego K. Fiali, który w swym felietonie szczerze wyznaje:

„Dzisiaj dzieci szkolne znają lepiej Bezrucza, niż wtenczas po przewrocie. Dzisiaj już Śląsk ostrawski jest naprawdę Bezruczowym krajem". Tragiczne „naprawdę", bo i prawda o Bezruczu jest tragiczną i oskarżającą; wynarodowione polskie dzieci, nauczono deklamować Bezrucza, tam na Śląsku ostrawskim... tam, gdzie była Polska Ostrawa i aby ta Polska Ostrawa nie straszyła spokojnego snu czeskich szowinistów, kazano z mocy urzędowej... wykreślić nazwanie Polska!

CIEMNA KARTA POETYCKIEGO BOJU

Twórczość literacką Piotra Bezrucza, trzeba sklasyfikować jako twórczość bojową. Lecz i w tym kierunku okazał się Petr Bezrucz szermierzem, który nie wystąpił przed światem otwarcie, jakby przystało na bezkompromisowego szermierza tej czy innej idei. Włodzimierz Waszek posługiwał się pseudonimem — wolno to czynić każdemu literatowi, każdemu poecie — mógł to uczynić i Piotr Bezrucz. Jednakże pseudonimowość i anonimowość Bezrucza, posiada wszelkie cechy nienarażania się stronie przeciwnej... może był to strach i obawa przed utratą ciepłego i wygodnego miejsca urzędnika c. k. poczty austriackiej. Bezrucz przez długi czas nie zdradził, kim jest, taił to skwapliwie, nie przyznał się do autorstwa swych wierszy nikomu z najbliższego otoczenia, nie uczynił tego nawet wobec redakcji „Czasu", z którym korespondencję załatwiał w wielce dziwny sposób, aby tylko nie ujawnić, że Włodzimierz Waszek to Piotr Bezrucz. Odnośnie tych spraw istnieje wcale bogata literatura, która rzuca na autora „Śląskich pieśni" bardzo ciekawe światło, upoważniając do wysnuwania wielu niepochlebnych wniosków i dociekań. Nie wiemy oficjalnie dotąd, co broniło Bezruczowi wyjawienia swego właściwego nazwiska, lecz wydaje się być pewnym, że były tu tylko dwie alternatywy:

Wspomniana poprzednio obawa przed władzami dawnej Austrii oraz pełna świadomość własnej winy, popełnionej przez fałszerstwo polityczne, przemycone do „Śląskich pieśni", przez wyrządzenie krzywdy literackiej i politycznej ludowi śląskiemu, który jak konar wyrósł z pnia polskiego. Zaś Bezrucz, fałszerz politycznych prawd przedstawił lud śląski jako czeską gałąź rodową. Częściowe przyznanie, jakby próbę rehabilitacji i pierwszy wyrzut sumienia w tym dramacie poetyckiego mistyfikatora odnajdujemy w późniejszej prozaicznej twórczości Włodzimierza Waszka — w skromnej broszurze, wydanej w roku 1923 w Bernie p. t. „Moravska zem a moravska rzecz — Republika przed svatym Petrem" („Morawska ziemia i morawska mowa — Republika przed świętym Piotrem"). Broszura tą jednak nie wyszła już jako książeczka Piotra Bezrucza, lecz znowu pod innym pseudonimem, pseudonim ten brzmiał: Kuba Stopierontik.

CZYJA TO KREW — JAKI TO LUD?

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Petr Bezrucz urodził się w Opawie (17 września 1867 roku) jako syn czeskiego działacza, profesora Antoniego Waszka. Jednakże matka Piotra Bezrucza, urodzona w Tyńcu nad Łabą jako Maria Brożkowa, pochodziła z niemieckiej rodziny Harerów. Pewne ślady potwierdzają także, iż ojciec Bezrucza — Antoni Waszek, mimo iż był znanym działaczem czeskim na Opawskim, nie pochodził również z rodziny nawskroś czeskiej, lecz z rodziny niemieckiej, później zczechizowanej i czechizującej. Wprawdzie pochodzenie nie może decydować o moralnym prawie Petra Bezrucza w jego poetycko-propagandowych wypowiedziach w sprawach śląskich, lecz pozostaje poważnym czynnikiem w demaskowaniu pewnych, wyłącznie politycznych zachłanności, wypowiadanych w formie „niewzruszonych prawd"! Zaś ta „prawda" polityczna, którą wypowiedział Bezrucz w „Śląskich pieśniach" należy do praw zwietrzałych w obliczu właściwej prawdy, że lud na znacznym obszarze Hłuczyńskiego i Opawskiego — nie wspominając już o bezspornym w tym względzie Zaolziu — nie jest pochodzenia czeskiego, lecz jest to tak samo lud polski, posługujący się do dziś dnia gwarą staropolską! Lud dawno zapomniany przez swą ojczyznę... Polskę!

Dokończenie nastąpi

---

*) Cytaty w języku czeskim bez odpowiednich akcentów ze względu na brak znaków w kompletach czcionek (przyp. Red.).

Stanisław Piętak

WIERSZE



rys. St. Cieloch

STANISŁAW PIĘTAK, urodził się 3.8 1909 r. w Wielowsi pod Sandomierzem. Drukuje od roku 1930 naprzemian to prozę to wiersze. Obecnie próbuje pisać i dla teatru.

Jest autorem kilku książek wydanych przed wojną. Rozgłos zdobyła mu powieść „Młodość Jasia Kunefała", którą Polska Akademia Literatury odznaczyła Nagrodą Młodych w r. 1938.

Wiersze poniższe, nie drukowane, wyjęte są z książki poetyckiej złożonej w wydawnictwie „Czytelnik" p. t. „Utwory wybrane".

Niebo

— Jak jest na tamtym świecie, mój drogi?
Ach, o tym to nikt nie wie na pewno.
Kordias jechał przez polne rozłogi
i w gwiazdy wznosił cicho twarz rzewną.
— No, a gdyby tam życia nie było —
gdyby śmierć świat kończyła na ziemi?
westchnął nagle. — Mnie by to dziwiło —
gdzie przepadłby duch z myślami swymi.

Jechali, a gwiazdy już spadały
i burza czernią kryła wieś małą.
Kopyta końskie tylko klaskały
w błyskach i wiatrem dalekim wiało.

— Straszne. Ja w to nigdy nie uwierzę —
szepnął nagle młodziutki Jaś głucho.
O jakiż lęk okrutny mię bierze.
Poco więc nas nawiedzono duszą?...

Mówiłby jeszcze, u wsi lecz brzegu
ogień pioruna wbił lej do wody.
Stado czerwonych ptaków w rozbiegu,
kwiląc, spadło w mroczne ogrody.
I teraz — o, była chwila taka,
że kościół czystą linią odbity
trwał na skrzydłach płynącego ptaka.
i w głębi wód wiły się wierzb kity.

Ach! Kordias zdołał zatrzymać konie,
ale Jaś padł na wznak oniemiały.
Zdziwieniem wzbierały im ócz tonie.
To tylko wciąż konie w trwodze rżały.

Wesele

Bum, bum, bum! — bębnił sobie Wojtek stary,
niosąc dal skocznej muzyki.
W blask wychodziły do ogrodu pary —
echami niosły się krzyki.

Jeż, piszcząc, zaraz ugrzązł w wilgnym piasku,
dziwiąc się kolorom mały.
Krowy nadbiegły od bliskiego lasku
i w łzach u płotu też stały.

Nawet księżyc co rósł mokry, czerwony,
skrył się za śliwy w chmur miechy.
Staruchy, dziewki, panny, białe żony
śmiały się w słodkim oddechu.

Jedna w tan oto objęła już drzewa,
przed jeżem uklękła, że miły.
I panna Młoda, choć lekka, jak mewa,
nie w mężu szukała siły...

Bum, bum! — bębnił sobie więc Wojtek stary,
patrząc ku gwiazdom na drogę.
I w jego babie niosły się nocne mary,
trzymał ją przeto za nogę.

Sen chłopca

— Ta tęcza skąd się wzięła złota, siwa? —
myślał malec, dziwiąc się, że świat cały
cztery tęcze na ukos opasały —
śmiała się, pluszcząc, w dole rzeka żywa.

Domów kilka białych stało w oddali.
Igrały oczy szyb z najmłodszą tęczą.
Dzieci skakały za słońca obręczą —
olbrzymi ptak — koń naraz wytrysł z fali.

Rzeka wszakże runęła światłem wyżej.
Zdało się, że niebo blednie echami.
Dzieci i tęcze klękały ze łzami
oto bowiem i staczały się niżej.

Już woda miała zalać niebo, ziemię —
znikąd, zdało się, nie stało ratunku.
Wtem kobieta o wielkim nóg rysunku
stopą swoją zepchnęła rzekę w cienie.

Naukos czuć teraz było, szum kroczy.
Kobieta szła — z nią ptak — koń, tęcze, oczy!

Nad rzeką w nocy

Gwiazda pruła bezszelestnie fale.
Na świecie księżyc wschodził nad wierzbami,
co ciche rozszerzały letnie dale,
barwą gołębi stojąc nad wodami.
Od łąk, od nieprzemierzonej zieleni
słowiczy śpiew się niósł ostry, jak łkanie.
I tak za cieńmi siwymi, lotnymi
leciało zza rzeki wesołe granie.

W taki to czas za młynem na skraju
biegł jakiś chłopiec i stanął w półmroku.
Zagwizdał tylko, a z pośród traw gaju
śmiech nagły zaraz doleciał doń z boku.
Upłynęło wszakże jakby chwil kilka,
nim śmiejąca się przybiegła do drzewa.
Cień słaniał się u włosów jej, jak piłka,
mokry blask lekkie jej ciało owiewał.

Dwie czajki pocałowały się w locie
i odfrunęły w mrok siny daleko.
Śmiejąca się uklękła wtedy w złocie
światła i ku chłopcu westchnęła lekko.

Nie słychać było dalej głosu w ciszy.
I psy ziemne, co igrając na drogę
wyszły, dziwiły się, że ni dal nie dyszy,
a chłopiec niesie wciąż swoją niebogę.

Noc letnia

Jestem tutaj wśród kwiatów ukryty jak mysz,
z warkoczem, usypiających trzmieli.
Mówcie głośniej. Cienkie uszy ktoś zmienił
w gniazda rozśpiewanych pszczół.
Ziemia odpływa ze mną
w ramach błękitnych, szklanych dłoni
ku krowom, co za drogą piją gwiazdami
rozwieszony zmierzch.

O, zostawcie niebo na tym samym miejscu.
Chcę spać z księżycem w włosach tak samo jak nasz pies.

Pytacie, kto jestem?
Na imię nie wiem, jak mi jest.
Wśród trawy śpię nocą,
żywię się mlekiem i szumiącymi dniami.
Ze mną są niebo, ziemia przecięta białą drogą
i krowy rozwłóczone rogami po las.

Lubię patrzeć na naszą Czarną, co zawsze, gdy mi zimno,
gorącym językiem liże mi bladą twarz.

Przysuńcie mi ją bliżej zaplątanych szmerem skroni.
Widzicie: w mokrych jej ślepiach świat utonął
smutnie na widnokręgu rozsławionymi szybami.

Zbieg

(fragment poematu)

1.

Na świt się już miało, wierzby w obłokach rosy szły.
Nad Topolną zorze wstawały jasne, ulotne.
Żaby wskakiwały na brzeg, już milkły.
Skowronki dźwięczały szybko, zrywało się ptactwo błotne —
zapach obór, znojnego snu włókł się gdzieś od wsi.
Pies biegł od strony kościoła, mył pysk o rosę.
Bocian zdawał się ruszać, lecz wciąż drzemał skulony na gnieździe.
Siwiała dal coraz bardziej, to wilgi i kosy
tłukły się, pokrzykiwały. —
Krzyżyk wątły i srebrny drgał na ostatniej gwieździe.

2.

— Różo — powiedział Janek — Różo, przyjdzie czas, wezmę cię za żonę.
Jej oczy w tej chwili stały się dziwnie nieuchwytne i mgławe.
Zaśmiała się — i tak zostały jej usta uśmiechem rozchylone.

3.

A tu, obława szła górą, dołem.
I cóż? Drzemałeś wśród bagien i szuwarów,
krzyk ludzki tak nagle otoczył cię żelaznym kołem.

4.

Każdy dzień odtąd wiódł mnie w dal, jak głos bolesny ptaków.
Mijały dni — bura słota upadała nad strzechy
brzemionami zgrzebnych, poszarpanych światów.
Ciężej było teraz tułać się wśród łąk i pustych pól —
na nizinnym buraczysku siwe woły czarną pustkę wlokły
na konarach rosochatych łbów.
Pługi zanurzały się wolno w ziemię — ociapani błotem wolarze
nie szukali dla swych uczuć melodii ni słów.
Było cicho — tylko rdzawo - złote brzozy zza mgły wychodziły
i próbowały odejść nad czarnej wody brzeg.
Szedłem dalej, słony wiatr
ostatnie liście zdzierał z brzóz, jak krew.

W NASTĘPNYM NUMERZE

„NOWOSIELECKI POEMAT"

JÓZEFA OZGI-MICHALSKIEGO

Jan Wiktor

Rozważania o literaturze

Fragmenty z „Zapomnianych źródeł"*)

Z PAŃSKICH PRZEDPOKOI

Literatura polska najchętniej przebywała na pokojach pańskich, nieraz w liberii lokaja, tam czerpała tworzywo, stąd wyprowadzała bohaterów, ożywiała ich, urok tego życia opiewała urzekającymi wyrazami. Nic też dziwnego, że rzucała urok na czytelnika, a ten wczuwał się w duszę utworu, wżywał się w tok opowiadania, marzył o podobnych przygodach, usiłował naśladować widziane postacie aktora filmowego lub bawiącego się dziedzica. Nie znał natomiast bohaterów ze swego stanu i otoczenia. Książka wynaturzała go, obudzała niezdrowe ambicje. Ogół patrzał na życie wsi, melodyjne i śpiewne, na jej mieszkańców, jako na kukiełki bezduszne, mające odegrać naznaczoną rolę w tym teatrze. A przecież chłop ma odrębne życie, kształtowane w swoisty sposób w ciągu wieków; ma bogatą kulturę, wytworzoną w mozole pokoleń, w twardym trudzie nieznanych mistrzów, w nieustannej walce z przyrodą i z tak zwanymi dopustami bożymi.

Literatura długo odwracała się od prawdziwej wsi, od chłopa zgnojonego, ubabranego ziemią, kroczącego za pługiem, od jego zmagań i borykań z przeciwnościami — bo proszę pana— niesłychaną rzeczą byłoby, gdyby cham zaczął zasmradzać polską literaturę; tego nie było i daj Boże nie będzie.

DO MYŚLENIA I DO CZYNU

Młode pokolenie chłopskie sięga po dzieła, poruszające zagadnienia poważne, żywotne, związane dążeniami i marzeniami wsi jutrzejszej. Według zdania uświadomionych, książka nie może być tylko zabawką, rozrywką, drażnieniem ciekawości zmysłów, ale musi uczyć, podnosić, rozwijać, uszlachetniać, porywać, pobudzać do myślenia i do czynu. Wieś szuka takich książek. A jest ich tak bardzo mało. W pierwszym rzędzie pisarz polski, jeśli chce spełnić swoją misję, czy swój obowiązek, musi się odrodzić i odmienić.

PISARZE WOBEC ŻYCIA

Nie wyobrażam sobie jutrzejszego pisarza, odgrodzonego hasłem: „sztuka dla sztuki" od dążeń i pragnień narodu, pisarza wygodnie rozpartego w fotelu i tworzącego w ciszy gabinetu, wpatrzonego w rozkwitające róże, wdychającego wonie swych natchnień. Życie, idące z ogromem swych żądań rozwali, zburzy te ściany, choćby były zbudowane z żelazo-betonu, zmiecie jego wieże z kości słoniowej, z zórz, gwiazd, blasków, błękitów, a wyrzuci pisarza w piekielną czeluść codziennych zagadnień, zmusi go do uczestniczenia w pracach społecznych, aby wziął w siebie wszystko, co ożywia człowieka, aby posiadł nie wyperfumowane, wonne, wypieszczone słowa, ale wołania i pragnienia wszystkich zbuntowanych, skrzywdzonych, budujących nowy porządek świata, aby jego pióro stało się żylastą pięścią, druzgotającą zło, choćby spaloną w piecach hutniczych, choćby stwardniałą od kielni i młota, choćby ubabraną gnojem. Dzieło dzisiejszego pisarza musi nieść krzepkość czynu.

BYLIŚMY ŚWIADKAMI

Musi się stwierdzić, że na przestrzeni tych lat zaczyna się przełomowy okres dziejów Polski. Znaczą go żelazne słupy, wbite w sterty wijących się ciał, żywcem zakopywanych. Wróg chciał nam wymierzyć śmiertelny cios w mózg i serce; podłość, gwałt, przemoc wroga zmierzały do wytępienia nas z tej ziemi. Patrzyliśmy na najpotworniejsze czyny, byliśmy świadkami obrazów, odbierających rozum, wyżerających oczy. I czyż można ó tem zapomnieć? Czyż można dymem kadzielnianym zasłonić lub płatkami jaśminów, rosnących na cmentarzach? Czy wolno? Dni nasze — to doły buchające krwią mordowanych. Czy ktoś z nas odważyłby się zasypać je ziemią, po to, aby zasadzić na nich szkarłatne róże, cieszące oczy swym urokiem, aby posiać kwiateczki uśmiechające się do przechodzących pokoleń. Wierzajcie mi, że ta ziemia popękałaby od ciosów wzburzonych serc, wyrzuciłaby ze swych czeluści obrazy przedśmiertnych męczarń zastrzelonych, zamęczonych i zaduszonych. Nie wiem, czy ktoś śmiałby zamilczeć o nich lub ominąć je obojętnie. Łuna, unosząca się nad obozami, nad krematoriami, ta czerwień spalonych skazańców długo będzie trwać na firmamencie Polski i nie zastygnie, nie spopieleje, bo ona jest żywą krwią wybroczoną z ran najlepszych synów naszych i braci.

ROZTKLIWIANIE NISZCZY SIŁĘ

Nietylko to. Obecna wojna rozkrusza dawny świat kultury i pojęć dotychczasowych, burzy i obraca w nicość wszelkie uświęcone przeżytki społeczne i ustrojowe, uprząta je pod wielkie dzieło, otwiera szerokie widnokręgi wyzwolonym z dawnych obciążeń myślom i dążeniom. Dzisiejsza poezja, mianująca się „niepodległościową" nie dostrzega tego. W jej strofach spowiadanie się z cierpień, pokutowanie za winy czyjeś, nakładanie na czoło korony cierniowej, zbieranie z konających warg jęków, z gasnących oczu łez, aby je wylać w popioły i mogiły. Wśród huku gromów burzących świat, wśród płaczu zrozpaczonych tłumów, wśród skowytów umęczonych, żywcem palonych, kiedy zgorzeliska są stertami ludzkiej krwi i kości — poeta wsłuchuje się w romantyczny śpiew sielskiego pastuszka i nastraja swoją zbolałą lutnię na te wzruszające nuty. Ta poezja roztkliwia a wszelkie roztkliwianie niszczy wolę, rozkłada siły, a nie kształtuje człowieka czynu. Tam, gdzie pragnęlibyśmy, aby ręka sięgnęła w głąb pożaru i wydarła głownię, tam tryska łza, tam promień wybłyśnie, to iskra wyleci, ale nim dosięgnie duszy — popieleje.

Nie chcemy śledzić przelotów iskier gasnących, nie chcemy słuchać żałośliwych melodii, dobytych ze strun, choćby pokaleczonymi palcami, choćby kikutami. Najszczęśliwszymi się czujemy, gdy mamy więzy na rękach, gdyż możemy się buntować, największą też wtedy okazujemy żywotność, gdyż możemy je targać i śpiewać pieśni o bohaterstwie, o cierpieniu, o męczeństwie, maczając słowa we krwi, ażby się każde zapurpurzyło i rozgorzało. Ale czy to ciągłe szamotanie jest cechą narodu twórczego? Czy ta pieśń jest wyrazem żywotności?

W PIÓRZE CIOSY KILOFA

Poezja nie może być pieśnią niewolników, lamentem w mrokach, na ruinach, czy pod murami biblijnego Jerycha, czy podbudką bojową pod trzepotem proporczyków ułańskich, czy opiewaniem buntu, bojów, męczeństw, cierpień, krat więziennych, zbieraniem krwi pod szubienicami, rozkopywaniem grobów, aby trupy zlewać łzami, ale musi być podnietą, a gdy potrzeba, chustą do otarcia potu z oblicza spracowanego, kubkiem wody źródlanej, podawanej spragnionym wargom, pokrzepieniem, przewodniczką, wyrazicielką woli zdobywczej, ambicji twórczej. Burzyć marzenia poety „o trumnie z polskich sosen", a budować z polskiej stali czyny dla żyjącego narodu. Pisarz ma w piórze ciosy kilofa i płomień pochodni, toteż ani dzisiaj, ani jutro nie może melancholizować, śnić w różowej mgle o nastrojach nad ruczajem, nad spróchniałą wierzbą, chwytając melodie słowika, zawodzącego w noc majową.

NIE POPULARNE RUPIECIE

— Chcecie, aby autor, zstąpił na niziny, schlebiał tłumowi, karmił go lichotą?

— Nic podobnego. Odpadkami czy zgniłkami nie wolno żywić zdrowego ludu. Sztucznych skrzydeł nie można przypinać, niech one same wyrastają z duszy, aby były jej polotem. Nigdy nie zniżać się do poziomu pospólstwa, do kałuż, aby z błota lepić kukły do zabawy tłumów, ale właśnie porywać z nizin na szczyty, w słońce. Chłop taki, jakiego znam, jakiego mam na myśli, już dojrzał, już nie potrzebuje literatury popularnej, bo on sięga po dzieła najwyższego lotu, najszerszego zasięgu. Musimy bezstronnie stwierdzić, że posiadamy bardzo mało książek, mogących zaspokoić potrzeby odrodzonej wsi. Jakże często dochodzą do rąk śmiecie, wyrzucone, rupiecie, książeczki zupełnie przestarzałe, nie warte funta kłaków, jeszcze dla pańszczyźnianego chłopka, poczciwego i potulnego kmiotka, a nie dla obywatela, członka kulturalnego narodu. Ta tak zwana popularno-naukowa literatura...

Dotychczasowa literatura popularno-naukowa, nawet tak zwana beletrystyka, w większości swojej nie odpowiada ani upodobaniom, ani umysłowemu rozwojowi chłopa, ani też stopniowi powszechnej oświaty wsi, dlatego też nie może spełnić swojego zadania. Jakże często młody, uświadomiony chłop z uśmiechem lekceważenia odkłada te książeczki, co, miast być pokarmem, są mętnym napojem, zabarwionym lichą namiastką, a nie wodą zdrową, krzepiącą, czerpaną z górskiego źródła. Chłop, szanujący swoją godność, nie cierpi poklepywania, ani też nie znosi, gdy ktoś uważa go za nieporadne dziecko i bierze go za rączkę: „kochany kmiotku, cierpisz nędzę, więc muszę nad tobą zapłakać, jesteś ciemny, więc muszę cię oświecić z pomocą bożą, pouczyć; nie znasz drogi w otaczających cię mrokach, więc muszę ci zaświecić kaganek oświaty; uważaj, abyś nóg nie pokaleczył, abyś nie potknął się na kamieniach i nierównościach". Wtedy musi mieć uczucie niższości i upośledzenia. W takich wypadkach gotów lunąć w pysk lub skoczyć do ślepi i huknąć po swojemu — a idźże ciarachu miastowy ode mnie, pókim dobry, bo ci kości poprzetrącam. We mnie krzepkość, moc, rozmach. Posiadam swój zdrowy rozum, a nie wasz, z książek, całkiem ogłupiały.

— Zagadnienie trudne. Trzeba zbadać upodobania wsi, a one są odmienne, niż ogółu. Lud nie lubi czytać dzieł o swojem życiu, czego dowodem są „Chłopi" Reymonta, „Na skalnem Podhalu" Tetmajera i niemal wszystkie dzieła Orkana.

— Znów jeden z licznych przesądów. Wiele utworów nie odpowiada ideowo młodemu pokoleniu i właśnie do takich należą nawet „Chłopi" Reymonta. Chłop najbardziej boi się wyśmiewania. Nieraz spotka go nieszczęście i nikomu nie zdradzi tajemnicy, nawet najbliższemu sąsiadowi, „boby miał uciechę i wyśmiałby się". W mieście spotykała go pogarda do mowy stroju, zwyczajów, do całego życia, dlatego też uważa, że Tetmajer jest wyśmiewcą i szydzi z niego, przedrzeźnia jego gwarę. Chłop nie chciał siebie widzieć w zwierciadle pisarskim, bo się wstydził.

---

*) Fragmenty z „Zapomnianych źródeł" są jak je nazywa sam autor — „strzępami wyrwanymi z większej całości, pisanej w roku 1943 jako pamiętnik rozmów prowadzonych z działaczem ludowym Janem, który zajął obecnie szczytowe stanowisko w odrodzonej wsi. Całość ukaże się nakładem „Książnicy Atlas" (przyp. Red.).

JAROSŁAW JANOWSKI

*
* *

Nie zmogła nas woda
falą porywistą.
Myśmy wyszli z topieli,
choć kruszyło się wszystko
i rozpacz ciężyła jak kłoda.

Nie spopielił
płomień naszych kości,
choć dymiły piece,
jak żałobne chorągwie na wietrze.

Nie uwierzysz, jak dalece
rachunek życia się uprościł!
Płuc nie przeżarło
zatrute powietrze.

Nie zamknęła się ziemia
nad nami mogiłą,
choć padaliśmy gęsto
w glebę od krwi spoistą,
choć każdy cios oniemiał,
ale nie głuszył męstwa.

Nawet schwytani za gardło,
obezwładnieni siłą
— wiedzieliśmy gdzie przystań.

Teodor Goździkiewicz

MATKA

(fragment z powieści p. t. »Głosy z daleka«)

Matka!... jakaś nieujawniona krzywda... Jakiś przedłużony ból... Jakieś zakryte cierpienie. Poświęcenie dla innych — dla mnie. Praca codzienna, wieczna, ordynarna praca: praca nie dla moralnego łgarstwa o jej pięknie, ale praca dla żarcia, dla istnienia. Robota. Harowanie: całe życie, lata, dzień dnia, z chwili na chwilę...

Oglądam obrazy i sceny, a jednocześnie snuje się przeze mnie druga nić — marzenie słowami...

— Matka!... cieniu mój kochany, cieniu — który odszedłeś, którego już nie ma i nigdy nie będzie... Spłakałaś oczy twoje nad kuchnią i kądzielą i pożarła cię już ziemia. Pożarła twoje chude, wysuszone wiecznym niedojadaniem ciało chłopskie...

Widzę małą, wysuniętą ku lasowi wieś, ginącą w topieli zasłuchanych pól. Siwy dach przy dachu, jak chude stado krów ściśnięte w wąskim przejściu — to domy i stodoły. Podwórka maluśkie, ozdobione gnojownikiem po środku. Okna w domach małe, malutkie — jak kaprawe oczy zaspanego dziecka. Małe, żeby nie uciekła nimi bieda na góry — na lasy, ale siedziała tu, w tych domach postawionych ciasno, jeden obok drugiego na wąskich placach, gdzie chłop przewrócony w poprzek płacił szlabanowe dwom sąsiadom. Jednemu od nóg, drugiemu od głowy — za wtargnięcie na cudzą „dziedzinę".

— Mamo, mamo!... ileś ty dni w roku musiała odrabiać na cudzym za ten dom, gdzieś mieszkała jako „komornica". Ileś nocy nazarywała nad kądzielą przy przęślicy, żeby odrobić skrawek ziemi na własny len? Pamiętam to, och, jak ja to pamiętam... I to też... także. Skończyłem szkołę powszechną — chłop czternaście lat jak obszył. Świadectwa, rodzice, koledzy. Nastrój — nauczyciele. Mowy, życzenia. Dostajemy papiery. Widzę cię przelotnym rzutem oka: siedzisz gdzieś tam od ściany i płaczesz. Zżółkła twarz, znaczona zmarszczkami w ramie perkalikowej w kwiaty chustki zawiązanej pod brodę. Jak to było? Aha! — wszyscy się rozjeżdżają czekają furmanki. Będą zabierać kolegów, ich łóżka żelazne, sienniki ze słomą skrzyneczki. Na mnie nie czeka fura. Dopiero później może tam matka kogo uprosi. Bierzemy tylko moją skrzynkę. — Nie uniesiecie — mówią koledzy, rodzice. — Damy radę — mówi mama — za miastem zrobi się powrósło ze żyta i na plecy, to się uniesie... Mówisz to tak rzeźko, pewnie, ochotnie, niefrasobliwie, a mnie chwyta nagle jakiś dziwny stan: gorąco mi i chciałbym, żeby nikt na mnie w tej chwili nie patrzył. A tu pewnie patrzą wszyscy...

— Ech!...

W piasku drogi, która idzie przy domach wsi, bawią się dzieci najmniejsze. Tytle się tego dużo w ziemi suchej, pomieszanej z prochem rozbitego nawozu. Przepędzają tutaj przecież cztery razy dziennie krowy. Dzieci w koszulach tylko lnianych „dla chłodu", gołymi siedzeniami zamiatają ścieżki i równają koleiny. Drugie tyle pasie po łubinach młodych, po perzawkach na podorywkach gęsi. Albo na miedzach, na rowach, po przylaskach krowy. Wszystko tu pracuje: młodzi od podrostka, starsi do zdychającego dziada — wszystko jest wprzągnięte do jednej wielkiej roli, do jednego olbrzymiego zadania: zarobić na jedzenie! na jedno żarcie!

Narasta gniazdo za gniazdem: idą w świat do Niemiec na roboty, za morze, rozrzucają się po całym świecie w poszukiwaniu chleba. Znają ich okoliczne dwory obszarników, majątki bogatszych chłopów. Czepia się to ziemi, piasków, jak mech kamieni lub grzyb gnijących szczątków drzewa. Zatyka swym cielskiem wszelkie społeczne luki, dziury niespodziane i wyrwy nadzwyczajne. Wsiąka i wsiąka w społeczne szczerby przestrzeni świata..

Widzę bystro jak wczoraj — jak przed chwilą. Mała, jednookienna chałupa z glinianym tokowiskiem. Na oknie jedyna ulubienica całej rodziny — mnie i matki — lekarska, doniczkowa cebula. Oko w głowie dnia: trzeba podlać, przekręcić do słońca symetryczne sierpy liściastych wolut nasadzone na wyłupiastą łodygę rośliny. Uniwersalny specyfik — we wsiowo gospodarsko-lekarskiej recepcie na wszelkie stłuczenia, wrzody i „bóle". Matka odcinała z niekłamaną boleścią, dwa, trzy kwadraty tłustego, śliskiego liścia proszącym, a potem bliska płaczu (i zła) ranę rośliny zalewała olejem.

Wiosna wypędzała ją do boru. Zbierała dzień dnia dzbanki czarnych jagód i w targowe dni biegła z tym do miasta. Nie mogła odżałować czasu, który musiała poświęcić sześciomorgowym dziedzicom na odrobek za leszkę lnu, który jej pozwolili tu i ówdzie siać. Jesienią powtarzała się ta sama historia z grzybami, które spędzały ją o szarym świcie, ażeby się nie dać nikomu wyprzedzić... Kawałek tylko chleba do koszyka...

— Eh, mamo!...

Wszędzie i zawsze już, pamiętam, towarzyszyłem matce w tych borowych kampaniach — przy jagodach, grzybach, jeżynach. Nawet w dnie, kiedy szła do miasta, dla zmniejszenia straty chodziłem sam. Rozumiałem już wówczas — małe dziecko — że nie zbierać, to nie mieć i nie jeść. Oprócz tego dla zachęty kupowała mi matka bułkę, czerwonego długiego cukierka za grosz lub w razie zapotrzebowania przeze mnie kozik o drewnianym trzonku.

Zima miała u nas inne oblicze. Siedzieliśmy w domu. Matka przędła i przędła nieskończone, niewyczerpane czapy kądziel, a mnie się zdawało, że cały świat jest z lnu. Na święty Michał, który był patronem naszej parafii, w dzień odpustowy, który zamykał po większej części trud kopania kartofli i siana, raz kupiła mi matka elementarz.

— „Bydziesz się tero uczył" ...ach, mamo, mamo...

Była to niewielka, szara książeczka. Na wierzchniej okładce widniał obrazek Matki Boskiej z dwiema krechami niemiłosiernie porąbanej twarzy przez „zbójów" i Pan Jezus o twarzy starego człowieka. Pod okładką na samym zaraz wstępie stał pacierz: od Ojczenasza do wszelakiego autoramentu przykazań. Potem równe szeregi dużego i małego abecadła...

Wystrugałem sobie z patyka brzozowego „skazówkę" i uczyłem się. Na ławce, tuż przy przęślicy matki miałem rozłożony elementarz na dużym abecadle i jeżdżąc „skazówką" po znakach, powtarzałem za nią:

A, B, C, D... ach, mamo... bo to były litery dla mnie? pięcioletniego bębna? Skąd ci się wzięło mnie uczyć takiego małego berbecia?

Sypały się na stronice z ciemnego tandetnego papieru siwe paździerze z kądzieli, które musiałem ustawicznie zdmuchiwać. A ja się uczyłem liter dużego abecadła. Bo to jednak dla mnie były litery? co to były te litery? Widziałem tylko w ich obrazkach pewne podobieństwo do przedmiotów z otoczenia, które znałem. A — przypominało mi rozpórkę do skórki z królika; D — było takie samo, jak piłka z pałągiem do gałęzi; T — równało się autentycznemu młotkowi; C — niewytłumaczoną rzeczy koleją miało kształt obtrąconego ucha od fajansowego czajniczka, które przechowywałem pod stołem, a które matka starannie omijała miotłą podczas rannych i popołudniowych porządków. L — przypominało bardzo kosę (bez rączki), a Ł — jeszcze bardziej (z rączką). O — zupełnie nie różniło się od wierzchu opałki na stróżyny od kartofli, a P — było jak siekierka z odwróconym ostrzem, na co nie było rady.

Potem przyszły komplikacje. E — przedstawiało człowieka z wyciągniętymi rękami i nogami przed siebie i dużym nosem, F — takiego samego osobnika, który jednak przenosi pozę stojącą. M — nadzwyczaj przypominało huśtawkę bez górnej poprzecznicy. Świat cały widziałem teraz z liter. Dostrzegałem te znaki w płocie, na drzewie, w sadzie — wszędzie. Wszystko było z liter. Otoczenie weszło w litery, a litery były w otoczeniu.

Kiedy poszedłem do szkoły, miałem już około ośmiu lat i nieźle czytałem. Ostatecznie ten elementarz zrobił swoje. Niezapomniana to była szkoła — za wzgórkiem w sąsiedniej wsi. Kiedy u nas wszedłem na płot, to widziałem jej trójkątny szczyt z ciemną plamką prostokątnego okna. Murowany budynek, nowy nawet, klasę miał dużą od południa i schody, mieszkanie dla nauczyciela od północy i wschodu. Te nauczycielskie pokoje były dla mnie egzotycznymi zakątkami. Nigdy nie można było do nich się dostać. Nie było okazji. Rzadko tylko, może raz w roku mogłem przez niedomknięte drzwi zerknąć z korytarzyka do wnętrza. Leżał na środku pod stołem czarwony dywan. Na oknach kwitnęły pelargonie.

Przyszliśmy z matką jakoś w jesieni. Czekaliśmy w klasie. „Pan" był w ogrodzie. Oglądałem klasę i ławki z jakimś zabobonnym lękiem. Stały wyrzędowane, proste, surowe, nieme, zasłuchane. Ciągnęły moje oczy dwa kolorowe obrazki w złotych ramach na północnej ścianie — jakiejś młodej pary ludzi barwnie wystrojonej. Twarze mieli gładziutkie, różowe, jak z najdelikatniejszego ciasta. Wszedł nauczyciel — młody człowiek, starannie uczesany. Kołnierzyk bielił się pod brodą. Granatowy garnitur miał w sobie coś świątecznego. Matka pocałowała go w rękę. Ja drugi za przykładem.

— „Przyszłam oto grzecznie pana prosić, możeby tyn mój mały mógł chodzić do szkoły?"...

Okazało się, że nie jest to taka łatwa rzecz. Nie mogłem chodzić, bo nie mieliśmy ziemi. Matka w nadziei, że ten zakaz da się w jakikolwiek sposób obejść, obiecywała to — owo, a to odrobić, a to zapłacić co nieco. Pocałowała jeszcze raz jego rękę. Ale to wszystko było próżne.

— Nie wolno... nie mogę... mogłoby się wydać...

Nie był to jednak człowiek zły w gruncie rzeczy. Sam poddał myśl. Żeby to kto, kto nie ma dzieci, przyjął go na swoje nazwisko, w razie czego jak inspektor przyjedzie — to by się dało zrobić.

— A jak się będzie nieźle uczył, to możecie nie płacić...

Znalazł się taki ochotnik do udzielenia nazwiska. Matka zaofiarowała mu swoje usługi na polu czy w domu.

Poszedłem do szkoły. Miałem nowa tabliczkę, nowy rysik, nowe buty, kapotę i czapkę. Klasa pełna była dzieci. Pierwszoroczne stały po bokach — zdezorientowane, onieśmielone. Starsze z dumnymi minami pewne siebie chodziły po klasie potrącając malców i jak do macierzystego portu zawijały na ostatnią ławkę — najwyższy oddział.

Zatrzymałem się przy oknie jak wmurowany w ziemię. Patrzyłem na to wszystko z najwyższym zdumieniem. Rzeczy otaczające były jakby przewróconym światem. Paliły mnie oczy tych dzieci, choć nie wszystkie patrzyły na mnie. Ubranie, nowe jaskrawe ubranie parzyło mnie i dusiło. Po co mnie ta matka obuła w nowe buty? Po co? Żeby mi jeszcze dodać wstydu? Dzieci są w zwykłych ubraniach. Dzieci są boso. A ja? Ubranie posiada jeszcze zapach jarmarcznego krawca. Czuję to wyraźnie. Guzełek zwiniętej chustki ciśnie mnie w nogę. Jak coś obcego, jak coś niepotrzebnego. *I nie na miejscu. Patrzę w obrazy. Żółte ramy. „On"* ma brodę ciemną. Szarfy jakieś, sznurki, ordery i krzyże. Oczy nieruchome portretowe. „Ona" wysoko upięte włosy. Goła, różowa szyja błyszczy jakimś jaskrawym światłem.

Ktoś mnie zawołał z ławek. Zwracam w ciasnym kołnierzu unieruchomioną głowę. Haftka kłuje boleśnie skórę. Widzę kto — uśmiecha się porozumiewawczo. To chłopak sąsiada, z którym wywłóczyliśmy się po wszystkich miedzach. Z trudem, z wysiłkiem, cały w ogniu doszedłem do niego. Siedział z brzegu w długiej, ośmioosobowej ławce. Wyjął książkę spod ławki i mówił:

— Bydzies sie ucył po rusku — zobocys...

Otworzył książkę na chybił-trafił. Stały tam dwie butelki. Zaczął czytać:

— Odna butyłka mała, druga butyłka duzaja...

Cały wstyd, całe skrępowanie przetransformowały mi się w śmiech. Plułem tym śmiechem, co mojego sąsiada do dalszych pobudziło wysiłków. Śmieszyła mnie tak ogromnie owa „butyłka"... Dziś wiem, że pół na pół stwarzał, ale wówczas patrzyłem na niego z uznaniem i podziwem, że tak dużo umie.

Matka owinęła mi w róg chusteczki od nosa ileś tam pieniędzy, upominała surowo, żebym nie zgubił i kazała zanieść „panu". Ach, com przeżył! Gdzie tu oddać? w klasie? przy tylu dzieciach? Nie — za nic na świecie!...

Pan był w koszuli i mył się... Stara, sucha, wysoka gospodyni stawiała talerz jajecznicy na stole. Zacząłem coś niemrawo mówić i supłać węzeł obejmujący grosze. Ale nauczyciel nie wziął. Wyraźnie nie wziął. Ogłuchłem i oślepłem: koniec. Koniec temu wszystkiemu. Całkowity. Nie wiem, jak wyszedłem z kuchni. Coś mnie wyniosło, zabrało, posadziło w ławce i zamknęło usta do końca lekcji. Zobaczyłem matkę. Ona — siedzeniem i własnym ciężarem ciała przytrzymuje, przyciska do ławki deseczkę przęślicy. Elementarz. Na brudno umorusane stronice, porżnięte ostrą skazówką sypią się drobne paździerze. Jakby mnie ktoś spętał, związał w środku. Nic mi się nie chciało. Nie mogłem nic robić. W domu opowiedziałem wszystko matce z płaczem. Porwała chustkę i zaraz od ręki w dyrdy pobiegła. Ale wróciła uradowana. Poznałem po zamknięciu drzwi, po sposobie jak odjęła chustkę.

— Ady nie płacz, nie — pan nie weźmie piniędzy, bo się dobrze uczysz...

— Ech, mamo, mamo! czy ty wiesz, że twoim chęciom pomogły: wojna i niepodległość kraju?.... tak, tak — mamo, cieniu, któryś był i minął...

W następnym numerze:

Pisarz chłopski o Śląsku

Zdzisław Hierowski

Pomocy pionierom!

Ma na ziemiach odzyskanych swoje bolączki wieś i ma je miasto. Często łączą się one bardzo ściśle.

Przede wszystkim rzuca się w oczy paradoksalne zjawisko przeludnienia, jakie wynikło tu z zasilenia polskim żywiołem repatrianckim i osadniczym ziem, z których nie usunął się element niemiecki. W niektórych okolicach podgórskich Dolnego Śląska spotykamy jeszcze skupienia niemieckie, pochodzące z ewakuacji z zachodu Niemiec i z miast zniszczonych przez bombardowanie. Wszystko to powoduje silne zagęszczenie ludnościowe zarówno na wsi jak i w mieście. W Kłodzku n. p. zaledwie około dziesięć procent Polaków z sześciu tysięcy tam osiedlonych posiada mieszkania. Na wsiach gospodarstwa, na których Polak byłby niepodzielnym panem należą do naprawdę wyjątkowej rzadkości.

Nie można się dziwić, że w tych okolicznościach komplikuje się przede wszystkim sytuacja aprowizacyjna. Zbyt wielu konsumentów oczekuje na plony zniszczonej wojną ziemi. Nie znajdziemy tu niemal powiatu, który byłby aprowizacyjnie samowystarczalny. Część zasiewów zniszczona została działaniami wojennymi, przemarszem wojsk i licznych taborów oraz przesunięciem się przez niektóre przy szlakach położone tereny olbrzymich stad bydła. Szczególnie ciężko przedstawia się zaopatrzenie w tak podstawowy produkt, jakim są ziemniaki. Ewakuacja ludności przed działaniami wojennymi spowodowała, że w wielu okolicach ziemniaki zostały zasadzone bardzo słabo. Znaczną ich część zużyło wojsko, a obecnie w kopaniu pomagają prawowitym gospodarzom ukradkiem Niemcy, gromadząc w ten sposób zapasy na zimę. Ponadto ogólne zasoby ludności zostały pomniejszone odpadnięciem części zbiorów z majątków zagospodarowanych przez wojsko. Niski stan bydła i trzody powoduje brak mięsa i tłuszczów. W powiecie grotkowskim relacjonowano nam, że na jedną wieś przypada przeciętnie sześć krów a są też wsie, gdzie znajduje się tylko jedna krowa. Bydło tego powiatu musiałoby pozostać nietknięte i rozmnażać się normalnie przez lat dziesięć, by doszło do poprzedniego stanu pogłowia.

Przejechawszy kilkaset kilometrów, widziałem przy pracy jeden traktor i jedną parę koni. Gdzieniegdzie pojawiły się ostatnio traktory amerykańskie, które będą miały sporo roboty z wykonaniem jesiennej orki. Rytmiczna praca ich motorów umacnia jednak nadzieję. W wielu okolicach **brak prądu** na skutek zniszczenia sieci i zakładów energii elektrycznej **unieruchomił** elektryczne młocarnie i czyszczalnie zboża. Pomiędzy Głuchołazami a Nysą byliśmy świadkami, jak polski osadnik młócił pierwszy metr zboża. Brał się jednak do pracy z rozmachem i energią, z wiarą, że przetrzyma i wyżyje, że zasieje i zbierze większy plon.

Ale wieś ma inne jeszcze bolączki. W pięknie osiedlonej przez repatriantów wsi Wójcice koło Odmuchowa zebrała się gromada na nasze przyjęcie w świetlicy. Nastrój był świąteczny i można powiedzieć podniosły. Przyszli podzielić z nami swoje radości i smutki. Wśród tych ostatnich na plan pierwszy wysunął się brak artykułów pierwszej potrzeby. Wieś repatriancka nie ma zapałek, soli, mydła. Sól kosztuje 24.— zł kilogram a chłop nie ma pieniędzy. Zasiłki repatrianckie szwankują mocno, a zresztą pomyślane są przecież jako kredyt inwestycyjny, a nie konsumpcyjny. Zbytu na produkty rolne nie ma, bo wywóz pozą powiat zakazany, a i tak do zbycia jest tego niewiele. Zbyt na rynku wewnętrznym jest mały, bo miasto też nie obfituje w gotówkę.

Znaczną część tych niedomagań dzieli wieś z miastem z tym, że tutaj sytuacja aprowizacyjna jest jeszcze cięższa, a stołówki przypominają najgorsze czasy z ostatnich miesięcy w Katowicach.

W naszej wędrówce spotkaliśmy jedną oryginalną miejscowość. Jest nią uzdrowisko Kudowa, skupiające już dzisiaj około tysiąca Polaków. Burmistrz postanowił nie dopuścić tam do wolnego handlu celem zapobieżenia t. zw. szabrowi. Są tam już liczne urzędy i sklepy, ale nie ma handlu. Ta cała tysięczna kolonia polska, że ją tak nazwę, żyje po prostu ze stołówek. Wszyscy bez wyjątku i to bezpłatnie. Jak długo potrwa ten eksperyment — niewiadomo. Ludzie w każdym razie są twardzi, chodzą regularnie do stołówki i czekają, co z tego będzie. Stosunki to trochę pierwotne, ale są też pewnym przejawem pionierstwa i mają swe dobre strony, które może dopiero ukaże przyszłość.

Jedną z bolączek miast tej ziemi jest brak węgla. Sprawa ta wraz ze zbliżającą się zimą i możliwościami uruchomienia przywracanych do normalnego stanu stopniowym wysiłkiem fabryk nabiera ostrości i domaga się załatwienia. Śląsk bez węgla byłby swoistym paradoksem.

Komunikacja i transport to też źródło wielu utyskiwań. Skarżono się na to szczególnie w Grotkowie i Niemodlinie. Te dwa miasta powiatowe, pozbawione jeszcze prądu, nie mają najpotrzebniejszych mostów do bezpośredniego połączenia kolejowego z Nysą i Opolem. Transport samochodowy doprowadza nawet przy zastosowaniu państwowych środków komunikacji do przykrych dysproporcji. W Niemodlinie n. p. przydziałowy cukier przywieziony z Katowic kosztuje 16 zł 80 gr. za kg. W Grotkowie również ponad 10.— zł.

Nie chcę, by ktoś zrozumiał ten cały rejestr niedomagań gospodarskich ziem dolnośląskich i leżących na lewym brzegu Odry, jako zamiar zniechęcania ludzi do osiedlania się tam. Informatorzy nasi, którzy na to wszystko narzekali też nie mieli tych zamiarów. Może czuło się u nich nawet odcień dumy i zadowolenia z siebie, że potrafią to dzielnie przenieść. Zarówno oni jak i my mówimy to wszystko po to, by wskazać na najpilniejsze braki i brakom tym jak najskuteczniej i najszybciej zaradzić. Trzeba przypomnieć, że akcja osiedlania nie kończy się na osadzeniu ludzi na przeznaczonych dla nich miejscach. Z tą bowiem chwilą zaczyna się życie i ludziom tym należy w organizowaniu tego życia jak najskuteczniej dopomóc. Podobno powołany jest do tego Wojewódzki Komitet Osadniczy i podporządkowane mu placówki powiatowe. Niestety stwierdzić muszę, że w żadnym mieście nie spotkałem się z żadnymi przejawami działalności tej instytucji, więc znaczy, że trzeba tu kogoś zbudzić z drzemki i rozruszać.

Na tym tle o ileż silniej i jaśniej występują pozytywne osiągnięcia pionierów zachodu! Jakżeż cenny staje się każdy owocny wysiłek, jakimż przykładem jest każde konkretne osiągnięcie, każdy uruchomiony warsztat pracy, każda normalnie pracująca palcówka, każdy dobrze pracujący urząd czy szkoła. W tym oświetleniu specjalnych walorów nabiera wola wytrwania i zwycięstwa prawdziwych pionierów, wysiłek chłopa polskiego, który w niejednym powiecie spełnił już całkowicie swój obowiązek świadczeń rzeczowych i dokonał w znacznej mierze zasiewu. Repatrianci z pod Tarnopola w Wójcicach zaorali już w 100%. W rejonie Głuchołazów dokonano tego w 70%. Powiat niemodliński też już osiąga wyznaczoną mu normę. To są meldunki, które mają swą wymowę i wołają o pomoc. Zapał i entuzjazm nie starczy. Przezwycięży on jeszcze wiele, ale mógłby się załamać w najbardziej decydującym momencie.

Dlatego pomyślmy o nowym haśle: **pomocy pionierom!**

Jeszcze o „Dożynkach" Anny Kamieńskiej

Drukowane przez nas w poprzednim numerze „Wsi" sceny ze sztuki Anny Kamieńskiej „Dożynki", są dla uważnego czytelnika materiałem teatralnym ludowym zupełnie nowego rodzaju. Jakto! — możnaby zapytać, — sztuka tak bardzo „obyczajowa", obrzędowa, nawiązująca najwyraźniej do wiekowego zwyczaju? I to do zwyczaju typowo „pańskiego" — bo przecież dożynki od wieku są świętem wiejskim na cześć pana ustanowionym, — bo szlachcicowi to do dworu szedł korowód dożynkowy, niosąc symboliczny dorobek całego roku. Żeby choć pokazany był nowy element tego zwyczaju, — niechby wyśmiany był dotychczasowy dziedzic, niech wyraźnie będzie widać, że chłopi odżegnują się od tego symbolu wiekowej niewoli! Tymczasem nie — obrządek prawie bez zmian zachowany, tak samo śpiewny i taneczny, tak samo poetyczny... tyle tylko, że pana już nie ma, co zresztą niezauważone przechodzi — i tylko w kilku zdaniach, gdzieniegdzie, przewija się ta treść nowa: że chłop obchodzi dziś dla siebie, nie dla „włodarza", — dla gminy, nie dla dziedzica...

Ale chociaż poetka ocaliła piękno obrzędu, serdecznie nas wiążące, nowemu chłopu przekazując całą tradycję uroku i godność święta, jednak przez wprowadzenie postaci ŻEBRAKA napół symbolicznej, zaznaczyła wyraźnie zmianę, jaka się dokonała. ŻEBRAK, to znak s t a r y c h c z a s ó w, czasów, które odchodzą. Dlatego oddala się on pod koniec, właśnie gdy zaczynają się NOWE DOŻYNKI. Właśnie on, twierdzący, że „głupi jest świat i ja na nim sam", on — przeciwstawiony dzieciom, pokoleniu przyszłości dziś jeszcze nic nie rozumiejącemu, staje się ogólną alegorią tego wszystkiego, co odchodzi — już nie tylko pańskości władnącej tutaj, ale i m r o c z n o ś c i, i szarego życia tyle wieków panującego, a oddalającego się...

Nowy charakter utworu, mimo tradycyjności obrzędu, mimo niezmienności poezji, którą teraz chłop po panu dziedziczy — jest podkreślony przez formę wiersza, który stał się tak rzeczowy, tak jasno określony, że aż — klasyczny. I rzeczywiście — wprowadza Kamieńska niespodziewanie do chłopskiej sztuki — RYTM HEKSAMETRU, którym pisane są strofy horacjańskie, a u nas — pieśń Wajdeloty z „Konrada Wallenroda". Żebrak pyta o pisklęta w gniazdach — czy dzieci je widzą — a może nie widzą?

DZIECI: Jakto, Jasiek je sam od kocich ratował ócz!

Tak staje się teatr ludowy spadkobiercą „państwa" nie tylko w zwyczaju i formie życia — a także w tradycji poetyckiej.

Z. KAŁUŻYŃSKI

PIOTR STOPCZYK)*

Kębliny w oberku

Więc zaczynam od pierwszego,
od młodego bezmyślnego:
Ożenił się, zrobił długu,
poszedł orać, spał przy pługu,
Toteż za to, że był śpłochem,
nie chciał mu rość owies z grochem.
Trzymał się baby za schaby
i narzekał, że jest słaby,
Do roboty nie miał siły,
ale dzieci się rodziły.
Nie robił jak robią drudzy:
Klimczak, Stawski i Jarmuzy.
U Franciszka dobrze leci,
choć ma jedenaście dzieci,
Ale Ignac jak obity,
bo ma dosyć od kobiety.
Taka dziarska, taka żywa,
lecz za bardzo gadatliwa.
To on nie wiele narzeka,
zatka uszy i ucieka.
Mówi: baba, jak się uprze,
usmarcze się i nie utrze,
A że dobra gospodyni,
pozna siebie to się zmieni.
Stach Buczyński jest wstydliwy,
a Andrzejczak podejrzliwy.
Łączeskie by źle robili,
lecz za dobrych uchodzili.
Duży Chajdys był sołtysem,
a jego zięć tylko łysym.
Staśko Marek z Babulińskim
drepcą sobie truchtem świńskim.
Ja się tam z nimi nie słaniom:
oni nawet w sądzie kłamią.
Babulinę każdy łaje:
należności nie oddaje,
Ma opinię bardzo lichą,
zwią ją znaną cyganichą.
Moja Maryś, żonka miła,
język sobie postrzępiła,
Bo ma długi jak paprzyce,
dziamie jak psiak na kocicę.
Konczarkowa jest niepłocha,
tę kobietę tobym kochał,
Bo jest wdzięczna, bardzo miła.
Żeby moja taka była!

**) PIOTR STOPCZYK, 70-letni gospodarz z pow. brzezińskiego jest przedstawicielem poezji samorodnej twórczości pisarskiej ludu, odciętej niemal zupełnie od wpływów kultury ogólnonarodowej. Ten typ pisarstwa chłopskiego skazany jest na nieunikniony zanik: rozwój oświaty wprowadzi do twórczości ludowej nowe pierwiastki i upodobni ją do twórczości innych grup społecznych. Tym staranniej należy zbierać ślady owej twórczości chłopskiej z okresów wcześniejszych, jest ona bowiem dokumentem kulturalnj prężności warstwy chłopskiej, jest dowodem, że bogactwo życia duchowego, umiłowanie piękna i ambicja twórczości artystycznej nie były nigdy wyłącznym przywilejem klas posiadających.*

Rubaszny humor Stopczyka nie wyładowuje się w beztroskich igraszkach poetyckich na marginesie życia gromadzkiego, przeciwnie, znajduje on upust w satyrze obyczajowej, chłoszczącej wady i grzechy najbliższej autorowi gromady. Poeta chłopski o najbujniejszym nawet życiu wewnętrznym jest zawsze człowiekiem zbiorowości, jest jej wyrazicielem. Oto drugi ważny powód, dla którego warto zwrócić uwagę na tę najprawdziwiej chłopską poezję w rodzaju wierszy Stopczyka, bo ta jej charakterystyczna właściwość: bezwzględna przynależność do życia zbiorowości — jest cechą, którą pragnęlibyśmy widzieć również w młodej poezji chłopskiej, przezwyciężającej już swoją chłopskość w ambicji osiągnięcia poziomu poezji bezprzymiotnikowej, poezji ogólnonarodowej.

S. L.

FAKTY I ZDANIA

REAKCJA PRASY LEWICOWEJ NA ŚMIERĆ WINCENTEGO WITOSA

Tak się stało, że Wincenty Witos, odsunięty od udziału w życiu politycznym na przeciąg 20-u lat, najpiękniejszych lat w życiu męża stanu, — zmaltretowany kaźnią brzeską, która przerwała jego karierę parlamentarną zaledwie w jej początkach — zmarł właśnie w okresie, gdy w nowym ludowym państwie nowe objął godności, i gdy szykował się do odegrania nowej politycznej roli. Wiele jest tragizmu w tej śmierci wodza chłopów polskich — w takiej właśnie chwili. Jeszcze parę dni temu wicepremier Gomułka, przemawiając w imieniu Polskiej Partii Robotniczej, atakował stronnictwo, na którego czele stał Witos; jeszcze kilka tygodni temu organ walczącej lewicy, „Kuźnica", zamieścił karykaturę, wyobrażającą księdza, stojącego za Witosem, — karykaturę zarzucającą PSL-owi ustępliwość wobec reakcyjnie nastrojonego duchowieństwa. Nie pierwszy to raz polityka Witosa budziła zastrzeżenia po stronie lewicy; w 26-ym roku znacznie ostrzejszy był antagonizm, znacznie cięższe padały zarzuty, a socjalistyczny „Kurier Poranny" drukował w ironicznych tytułach: „Gospodarz Wincenty Witos z Wierzchosławic premierem?", „Gospodarz Witos otwiera przewlekłe, przesilenie", itp.

A jednak dzisiaj, w dniu śmierci tego niezwykłego chłopa, każdy Polak, który bierze do ręki prasę, uderzony jest jej jednolitym tonem. Nie są w stanie go zakłócić zarzuty i zastrzeżenia, bo nawet tam, gdzie one są, góruje jednak, w ostatecznym wydźwięku, hołd, szacunek, a nawet ton serdecznej tkliwości, na który prasa nasza, na ogół sucha i kostyczna, rzadko sobie pozwala. ZMARŁ WIELKI POLAK, ZMARŁ WIELKI PRZYWÓDCA LUDU, ZMARŁ BOJOWIEC O WYZWOLENIE LUDOWE — oto tytuły, w jakie pisma Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej zaopatrzyły wiadomość o tej śmierci. Przypomina się wzgardliwa i zbywająca reakcja prasy sanacyjnej na śmierć Ignacego Daszyńskiego, czy Romana Dmowskiego — i w tym porównaniu tkwi element osobliwego podniesienia na duchu. Znowu minie parę dni, i znowu zapewne rozgorzeje antagonizm polityczny, znowu wybuchnie dyskusja między partiami, przerwana śmiercią wodza jednej z nich. Ale pozostanie wspomnienie tej jedności nad trumną, jedności o wielkim znaczeniu moralnym — bo świadczącej, że pomimo przeciwieństw politycznych, choćby ostrych, — istnieje w Polsce solidarność ludowa, zahartowana walką wielu lat, i że na solidarność tę, znów obudzoną w krytycznej chwili, natknie się każdy, kto w imieniu obszarnika, faszysty, militarysty czy prałata ośmieli się wyciągnąć rękę po władzę.

Z. Kł.

GDZIE SZUKAĆ DOBREJ PUBLICYSTYKI

Wiadomo, że każdy naród przyzwyczajony jest do pewnego sposobu przemawiania, który najbardziej trafia mu do przekonania. Przysłowiowy jest angielski styl parlamentarny, ostrożny i zawikłany: „Istnieje podstawa do przypuszczeń, że pierwotne przewidywania co do dalszego biegu zdarzeń nie pozwalają potwierdzić poprzednio wysnutych wniosków", itd., itd. — a znaczy to po prostu, że się akcja udała, albo nie udała, czy coś w tym rodzaju. Dla nas wygląda to na obłudę, czy na śmieszną pretensjonalność, ale Anglików odstraszyłby ktoś, ktoby nie przemawiał w taki budzący ich zaufanie sposób. Czytelnik radziecki znowu przyzwyczajony jest do silnych określeń i gwałtownych epitetów; prasa sowiecka pełna jest „nikczemnych knowań politycznych", „bandyckich spisków faszystowskich zdrajców" itp., a zawsze ma to znowu bardzo konkretną treść, np., że Argentynie nie należy ufać, i nic więcej. Ktoś nienawykły do tego stylu byłyby przerażony — gdy to tymczasem jest tylko sposób wyrażania się.. Otóż stało się tak nieszczęśliwie, że w pierwszej fazie niepodległości nasza propaganda, działając w gorączkowch warunkach, pozbawiona pracowników, popełniła dziesiątki błędów. Był to okres, w którym trzeba było przekonywać wielu ludzi przestraszonych, źle poinformowanych, wahających się, a każde słowo przyjmujących nieufnie — po ledwie minionej „gadzinówce" i „szczekaczce" hitlerowskiej. A wtedy prasa nasza pisała o domniemanych przeciwnikach w ostrym, drastycznym i jaskrawym tonie. Powoli usuwano te niedorzeczności, ale do dziś zostały nie nieznaczące hasła i banały „demokratyczne", odpowiedniki sanacyjnego „hurrapatriotyzmu", i dziwnie nieprzekonujący, niepomysłowy, nieszczery, jakby przemilczający jakąś prawdę ton wielu artykułów. Szkody, jakie odnosi demokracja ze złej propagandy, są bez porównania większe, niż się przypuszcza. To też z prawdziwą radością notujemy przykłady dobrej publicystyki, jaka ukazała się na łamach tygodnika „Odrodzenie": OSTROŻNIE Z BOMBĄ ATOMOWĄ Jerzego Borejszy (Nr 46) i ROZUMNA PRZYJAŹŃ Mieczysława Wionczka (Nr 48), który dał się już poznać, pisząc o Wrocławiu i Czechosłowacji („Narodziny Trzeciej Republiki"), jako najlepszy dziś bodaj sprawozdawca w wielkim stylu. Obydwa te artykuły, omawiające przyjaźń polsko-radziecką, są przykładem, jak niczego nie przemilczając, oświetlając bezstronnie i wyczerpująco, pamiętając o uczuciowym nastawieniu polskiego czytelnika — można go bez reszty przekonać dla słusznej sprawy. Te dwa numery „Odrodzenia" godne są jak najszerszego rozpowszechnienia na wsi, gdzie do dziś tyle jeszcze bywa nieporozumień.

Z. Kł.

LEPIEJ PÓŹNO, NIŻ NIGDY — ALE LEPIEJ NIGDY, NIŻ W TEN SPOSÓB

Nareszcie, po wydaniu 46-u numerów, po dwóch latach swego istnienia, w numerze 47-ym „ODRODZENIE" zauważyło egzystencję tygodnika literacko-społecznego „Wieś". Jest to na przestrzeni połowy tysiąca stronic, na których „Odrodzenie" traktuje wszelkie problemy kulturalne, jedna wzmianka petitem, w rubryce PRZEGLĄD PRASY. Ale niestety! „Masom ludowym, budzeniu ich świadomości, służy tygodnik „WIEŚ". Na litość Boską, GDZIE, KIEDY, KTO tak twierdził, że organ literatów chłopskich służy budzeniu mas? Czy to jasno nie wynika z charakteru naszego pisma, z tematu naszej publicystyki, wreszcie z artykułu J. Al. Króla „Kto czyta „WIEŚ"? („WIEŚ", Nr 15) — czem jest, a czem nie jest tygodnik, którym zainteresował się sprawozdawca „Odrodzenia"? Jakby to, u licha, wyglądało, gdybyśmy zaczęli wychwalać „Odrodzenie", że z roli pisma dla młodzieży świetnie się wywiązuje, że informuje masy szybko i dokładnie, albo, że jako tygodnik satyryczny znacznie prześcignęło „Szpilki"? „Powstanie oddziału wiejskiego Związku Literatów, uniezależnionego materialnie przez organizacyjne powiązanie ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, jest dla sprawy upowszechnienia kultury..." DOŚĆ! Czytelników „Odrodzenia" tą drogą zmuszeni jesteśmy objaśnić 1) Że po raz pierwszy w historii naszej kultury zorganizowany Oddział Pisarzy Chłopskich nie ma absolutnie nic wspólnego ze Zw. S. Chł., który jest organizacją gospodarczą i polityczną, — a utrzymuje się ze składek członków, co mu właśnie zapewnia kulturalną niezależność; 2) że upowszechnianie kultury jest zadaniem szkół, nauczycieli i prasy, Związek zaś takiego celu sobie nie wyznaczył. Reklamę jaką „Odrodzenie" robi (petitem) Związkowi trudno uznać za szczęśliwą. Trudno w ogóle uznać za szczęśliwą politykę „Odrodzenia", głównego literackiego, prorządowego pisma, — wobec problemu kultury ludowej. Dotychczas poświęciło „Odrodzenie" tej sprawie 1 (słownie jeden) artykuł, w dziale HUMOR I SATYRA, zatytułowany „O t. zw. literaturę chłopską", który w tych poważnych czasach wywołał wiele serdecznej wesołości między działaczami ludowymi. To wszystko. „Dzieje się to w mieście, w którym mieszkają: prof. Bujak, prof. Inglot, prof. Pigoń, doc. Spytkowski, *prof. Mysłakowski*, w czasach w których żyje dr Chałasiński i dr Krzyżanowski, w epoce, w której reakcyjny „Tygodnik Powszechny" do błahych stosunkowo problemów zaprzęga takich specjalistów, jak Czekanowski, X. Michalski, X. Piwowarczyk, O. Siwek, itd. itd.

Ale czytajmy jak dalej zdaje z nas sprawę kolega „zb". „Nie uważamy za celowe różnicowanie pisarzy wg pochodzenia, jak to czyni J. Al. Król, przeciwstawiając literatom pochodzenia mieszczańskiego literatów chłopskich, lub klasowe wyodrębnienie pisarzy chłopskich, jak to usiłuje Stefan Lichański". Drogi kolego czy koleżanko „zb", — gdybyście przeczytali do końca artykuły J. A. Króla i S. Lichańskiego, przekonalibyście się, że owe rozróżnienie wymieniają oni poto właśnie, aby je zwalczyć. Wreszcie chwali nas „zb" za drukowanie Ozgi-Michalskiego. Wyliczamy mu resztę niezauważonych pisarzy chłopskich, naszych współpracowników: J. Wiktor, St. Piętak, P. Kubisz, Jalu Kurek, St. Nędza-Kubiniec, A. Olcha, J. A. Frasik, J. Morton, J. Pogan, J. B. Ożóg, St. Skoneczny, M. Kubicki, W. Szewczyk, St. Bojarczuk, J. Bojar, doc. J. Spytkowski, St. Jucha, J. Pocek, J. Urban, E. Rączkowski, J. Baranowicz, E. Marzec, E. Wrona, Z. Sierp, S. Cieślak, P. Ziarnik i pozwalamy sobie powtórzyć radę, którą nas częstowano gdy byliśmy w wieku Kolegi(koleżanki) „zb": by dużo czytać, a przede wszystkim to, z czego się pisze sprawozdanie. I jeszcze, kochany, odczytajcie tytuł tej tu wydrukowanej, a znacznie za długiej dla tej sprawy (lecz niestety, potrzebnej) wzmianki.. I więcej nie pisujcie o nas.

Z. Kł.

OPORTUNIZM TEATRU POLSKIEGO

W N-rze 3 „Chłopskiego Sztandaru", w artykule W. Wilbik „Chłopskie spojrzenie na literaturę" czytamy:

„Gdy po scenach teatrów chłopskich przewijają się drobne ułamki własnej, samorodnej twórczości obrazującej przeżycia minionych lat, wysiłek chłopski w walce z okupantem, udział w pracach konspiracyjnych — na wielkich scenach teatrów Krakowa, Łodzi, Warszawy, odgrzewa się wkółko stary repertuar nieciekawych komedii.

Przybywającemu z odległej wsi, wchodzącemu po paru latach nieobecności do teatru, jak do Mekki zdawna nieodwiedzanej, kolorowe afisze rzucają w oczy tytuły ogranych przed wojną sztuk, spłycony program dążący do schlebiania jak najbardziej przeciętnym zapotrzebowaniom publiczności miejskiej, omijający z rozmysłem sztuki wielkich twórców teatru.

Więc nic się nie zmieniło? Czy tak jak za TKKT? Czy tym tylko karmi się publiczność? Czy tylko wieś odczuła i przeżyła cały ten pięcioletni przełom? Czy ludzie w mieście zadowalają się małymi zagadnieniami, którymi karmiono ich do tej pory? Oczekujemy czego innego! Chcemy by przeżycia w teatrze były równe napięciom tym, które przeżywaliśmy w rzeczywistości. Zbyt wielka wytwarza się rozpiętość między słowami rzucanymi ze sceny a tym wszystkim co danym nam było widzieć, odczuć i przemyśleć przez ostatnie lata. Nie pora tak szybko i z takim rozmachem rezygnować z wysokiego tonu, na który byliśmy napięci do tej pory! Spadek to zbyt katastrofalny!"

Tą „napaścią reakcyjnego organu" na teatr polski poczuł się podobno dotknięty pewien literat i pewien aktor, i przygotowują drukowaną odpowiedź.

Wyjaśnią w niej podobno, że chłopstwo nie poznało się na wartości repertuaru, który ma w sobie głębsze demokratyczne znaczenie. I tak: „Lekkomyślna siostra" i „Moralność pani Dulskiej" demaskują nikczemność moralną klasy mieszczańskiej, „Dożywocie" wyszydza system gospodarczy oparty na pieniądzu, „Fantazy" ośmiesza ziemiaństwo itd. itd. Tymczasem w sukurs „Chłopskiemu Sztandarowi" przybywa W. Borowy w 1-ym N-rze miesięcznika „Teatr".

„Po sześciu latach głodu teatralnego spragnieni jesteśmy **wielkiego teatru.** Nie nęci nas ani widowisko rozrywkowe (które byśmy kiedy indziej sympatycznie powitali), ani nawet tzw. normalny repertuar teatralny. Pragniemy wielkiej poezji, — przede wszystkim nowej, jeśli się zjawi (a może się zjawić lub nie zjawić); i wielkiej poezji dawnej — która jest niezawodna. Cierpkie artykuły niektórych krytyków o nowych premierach kto wie, czy nie tym się.. właśnie tłumaczy, że na pierwsze *danie* poczęstowano ich poezją nie dość wielką".

Wyszukiwanie „głębszego znaczenia" w starych burżujskich komediach przypomina postępowanie jednego z czołowych poetów bratniej „Kuźnicy". Zakochany on jest w uroku życia, które niestety! przeminęło na zawsze. Cóż więc robi? Opisuje to za czym tęskni., Więc dworski park.., faun z bronzu pokryty mchem... szum fontanny... wiatr porusza jedwabną firanką, a przy „ampirowym" stoliku dama trzyma w wytwornych palcach list na batystowym papierze. Piękny wiersz — ale jak go przemycić do „Kuźnicy"? Poeta dopisuje na końcu: „Ale twarda pięść historii zmiażdżyła to wszystko", z czego wynika, że wiersz z pogardą opisuje minioną epokę. Tym sposobem poeta, który ma w szufladzie trzy kilo wierszy bez zakończeń, zabezpieczony jest od wszelkich kataklizmów, bo gdyby się coś zmieniło, wystarczy napisać: „Ale brutalna *pięść* bolszewizmu zmiażdżyła to wszystko", i w porządku. Podobnie *oportunistyczny teatr polski* próbuje w nas *wmówić, że* „Dama od Maksyma" obrazuje rozkład francuskiego kapitalizmu", itd. itd.

Tymczasem gazety donoszą, że genialny twórca polskiego teatru monumentalnego, Leon Schiller, objeżdża środowiska polskie we Francji z przedstawieniem, poświęconem chłopu polskiemu. Panie Leonie, niech pan wraca — tu czeka na pana widownia ludowa, o jakiej marzył pan przez lat dwadzieścia, widownia stęskniona teatru społecznego i wielkiej poezji!

Z. Kł.

MATERIAŁY W REDAKCJI

Tadeusz Brzechwa-Bernaś nadesłał duży fragment z powieści pt. **„Tajemnica dra Michny"**.

Adam Fr. Kirło-Nowaczyk nadesłał wybór wierszy oraz zbiór gawęd, zatytułowany **„Na przyzbie"**.

Józef Ozga-Michalski nadesłał **„Poemat Nowosielecki"**

Jerzy Mieczysław Rytard nadesłał **„List do trzech przyjaciół"**.

Antoni Olcha nadesłał poemat **„Moje Pole"**.

Numer 15 „Wsi" zawierał:

Jan Aleksander Król: „Kto czyta „Wieś", **Stanisław Skoneczny:** „Kostka Napierski" (fragmenty z poematu), **Zygmunt Kałużyński:** „Czy teatr ludowy się odrodzi?" **Stanisław Jucha:** „Podkrakowskie namówiny", **Anna Kamieńska:** „Dożynki", **Dr Jan Sztaudynger:** „Znaczenie marionetek dla wsi", **Maria Barchanowska:** „Dopokąd chłopem?", ponadto — „Fakty i zdania", ankiety.

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedyńczy . . .	5 zł
Miesięcznie	18 zł
Kwartalnie (za 13 numerów)	52 zł
Półrocznie (za 26 numerów)	95 zł

Wpłacać należy na adres:
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zaznaczeniem „na tyg. „Wieś").

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubisz Paweł, **Podhale** — Nędza-Kubiniec Stanisław, **Krakowskie** — Frasik Andrzej, **Kieleckie** — Piętak Stanisław, **Lubelskie** — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej"), **Warszawskie**—Kubicki Marian, **Łódzkie**—Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.
Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.
Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wyd. „Czytelnik", D—06221